



Henryk Cyganik
(1946-2005)

Gazeta Kulturalna

ISSN 1734-3240

Miesięcznik Rok XVIII Nr 3(199) Żelów, marzec 2013

Poezja Proza Krytyka Historia Sztuka Muzyka

W numerze:

Bez nadziei życie jest beznadziejne –

z **Januszem Majewskim** o Lwowie,
wojnie, Krakowie i filmie – rozmawia

Mirosław G. Majewski

Wiersze: Ryszarda Biberstajna, Henryka
Cyganika, Wojciecha Kawińskiego, Jana Ku-
rowickiego, Kacpra Płusa, Joanny Ratajczak,
Ireny Tetlak, Anity K. Wiśniewskiej, Leszka
Żulińskiego

Andrzej Dębkowski – *Wspomnienie
o Henryku Cyganiku*

Leszek Żuliński – *Między ciemnością
a światłem*

Józef Baran – *Przystanek marzenie*

Stefan Jurkowski – *Teraz i wtedy*
prof. Maria Szyszkowska – *Filozofia
codziennosci*

prof. Ignacy S. Fiut – *Dokąd zmierza
poezja współczesna?*

Kazimierz Ivosse – *Być Polakiem*

Andrzej Bartyński – *Gdzie są moi
przyjaciele*

Katarzyna Eremus – *Zbrodnia, honor,
sprawiedliwość w twórczości Natalii
Krzyżanowskiej (I)*

Ewa Cichocka – *Deja vu w Cefalu*

Stanisław Grabowski – *Marzenie
o szczęściu*

Rafał Orlewski – *Poeta znad Luciąży*

Dariusz Pawlicki – *O delektowaniu się
podróżą, a potem byciem u celu*

Anna Andrych – *Herbatka z gwizdek*

Jurata Bogna Serafińska – *W pajęczynie
tekstu*

Wydarzenia, Informacje

Kronika, Zapowiedzi

Opinie, Noty

Poglądy

Konkursy, Witryna



Z cyklu: „Pejzaże polskie”

Foto: Andrzej Dębkowski

Kronika

24 lutego minęło 85 lat od chwili, gdy rozporządzeniem Prezydenta Ignacego Mościckiego ustanowiona została w Warszawie **Biblioteka Narodowa**. Idea ksiąźnicy narodowej jest jednak znacznie starsza, sięga początków wieku XVIII oraz postaci Andrzeja Stanisława i Józefa Andrzeja Załuskich, twórców pierwszej w Polsce dużej biblioteki publicznej.

Anda Rottenberg, historyk sztuki, krytyk i kuratorka wystaw, wieloletnia szefowa warszawskiej Zachęty, odebrała Nagrodę im. Aleksandra Gieysztorza przyznaną przez Fundację im. Leopolda Kronenberga za wybitne osiągnięcia w dziedzinie ochrony polskiego dziedzictwa kulturowego. Wśród wcześniejszych laureatów są m.in. Norman Davies, Stefan Sutkowski i Krzysztof Czyżewski.

Po raz 38. przyznano francuskie nagrody filmowe – **Cezary**. Najwięcej otrzymała „Miłość” Michaela Hanekego: dla najlepszego filmu, za reżyserię, scenariusz oraz dla pary głównych aktorów, czyli Emmanuelle Rivy i Jeana-Louisa Trintignant. Nagroda dla najlepszego filmu zagranicznego trafiła do „Operacji Argo” Bena Afflecka.

Laureatka Nobla z roku 2009 **Herta Müller**, urodzona w Rumunii, prześladowana przez Securitate, z którą nie chciała podjąć współpracy, od 1987 roku mieszkająca w Berlinie, niemiecka pisarka gościć będzie w kwietniu w Krakowie (17 kwietnia) i Wrocławiu (19 kwietnia).

Konkursy

VIII Ogólnopolski Konkurs Poetycki im. Rainera Marii Rilkego

Dwumiesięcznik literacki „Topos”, Towarzystwo Przyjaciół Sopotu oraz patronujący imprezie Prezydent Miasta Sopotu ogłaszają VIII Ogólnopolski Konkurs Poetycki im. Rainera Marii Rilkego na zestaw pięciu wierszy w trzech egzemplarzach.

Nadesłane wiersze nie mogą być publikowane i nagradzane w innych konkursach. Profesjonalne jury w składzie: Wojciech Kass, Waław Tkaczuk – przewodniczący, Krzysztof Kuczkowski przynajmniej **Poetycką Nagrodę Rainera Marii Rilkego** oraz nie mniej niż dwie nagrody drugiego stopnia.

Laureaci otrzymują nagrody pieniężne (główna – 3.000 zł) ufundowane przez organizatorów i fundatorów (warunek – udział w gali festiwalowej, w przeciwnym razie nagroda zostaje wyróżnieniem honorowym a gratyfikacją pieniężną powiększy sumę nagród w kolejnym Konkursie).

Konkurs ma charakter otwarty, bez ograniczeń wiekowych i wymagań tematycznych. Utwory należy opatrzyć godłem (słownym), a w zaklejonej kopercie, sygnowanej tym samym godłem, przesłać następujące dane: imię i nazwisko, dokładny adres zamieszkania, numer telefonu, e-mail. Honorowa-

ne będą tylko prace na papierze formatu A4, nadesłane w formie wydruku komputerowego bądź maszynopisu. Organizatorzy nie zwracają nadsyłanych utworów.

Wyniki Konkursu zostaną opublikowane w prasie i internecie. Przesłanie prac konkursowych oznacza zgodę autora na nieodpłatne wykorzystanie tekstów w prasie literackiej („Topos”) oraz na gromadzenie i przetwarzanie danych osobowych uczestników do potrzeb konkursowych.

Uroczyste wręczenie nagród odbędzie się w październiku 2013 r. podczas Festiwalu Poezji w Sopocie.

Termin nadsyłania prac: czwartek, 15 sierpnia 2013 roku. **Adres:** Towarzystwo Przyjaciół Sopotu, ul. Czyżewskiego 12, 81-706 Sopot z **dopiskiem na kopercie „Konkurs im. R.M. Rilkego”**. **Dodatkowe informacje:** www.topos.com.pl

Wydarzenia

W Galerii Collage o Powstaniu styczniowym

Od momentu trzeciego rozbioru Polski nasz kraj zniknął z map Europy. Cały okres niewoli przesiąknięty był krwią polskich powstańców. Niewola, która trwała 123 lata, była okresem dążenia do niepodległości, walki o Polskość. Powstania były czynami zbrojnymi, które miały przynieść naszemu krajowi niepodległość. Jednak każdy zryw Polaków kończył się niepowodzeniem. Jedynym zwyciężką powstanie w dziejach naszego kraju to Powstanie wielkopolskie...

W tym roku przypada 150. rocznica Powstania styczniowego, największego polskiego powstania narodowego, które spotkało się z poparciem międzynarodowej opinii publicznej. Miało charakter wojny partyzanckiej, w której stoczono około 1200 bitew i potyczek. Mimo początkowych sukcesów zakończyło się wielką klęską powstańców.

Z okazji rocznicy w Galerii Collage Domu Kultury w Żelowie odbyło się spotkanie z **Ryszardem Wróblem**, regionalistą, który opowiadał o losach i przebiegu tego narodowego zrywu na Ziemi Łaskiej. Duża wiedza bohatera spotkania sprawiła, że można było wiele dowiedzieć się o czynaniach powstańców, których losy związane były ściśle z terenami położonymi w Dolinie rzeki Grabi.

Choć nie zachowały się materiały archiwalne czy przekazy ustne na temat powstania w samym Żelowie, to jest jednak sporo materiałów mówiących o takich działaniach wokół Żelowa. Wykład wzbogaciły ciekawe filmy dokumentalne.

Wycinanki w Galerii

Wycinanki zazwyczaj kojarzą się nam z pracą wyciętą z papieru za pomocą ostrego narzędzia, najczęściej nożyc. W Polsce charakterystyczna szczególnie dla twórczości ludowej. Wycinanki wykorzystują różne

rodzaje symetrii oraz łączenie i rytmiczne powtarzanie motywów w układach poziomych lub pionowych. Początkowo wykonywane były z białego papieru, dopiero kiedy w drugiej połowie XIX stulecia pojawił się papier kolorowy i bibułka, stały się kunsztownymi, tęczowymi ozdobami. Do wycinania używano narzędzi gospodarskich (np. nożyc do strzyżenia owiec). W zależności od przybieranych form (roślinnych, zwierzęcych, postaci ludzkich, a także figur) nazywane są: gwiazdami (okrągłymi lub rogowymi), kółkami, drzewkami, lełujami, lalkami, kogutkami itp.

Barbara Hasiuk-Luter, której wystawę można oglądać w Galerii Collage Domu Kultury w Żelowie prezentuje prace wykonane zgoła odmienną techniką. Jej papierowe obrazy to misteria techniki. Lekkie w wymowie i delikatne w oglądaniu. Trzeba niezwyklej wyobraźni, żeby wyczarować z papieru takie magiczne obrazy – trzeba mieć także sporo wyobraźni, patrząc na te dzieła sztuki. Dzięki swojemu warsztatowi i wielkiej cierpliwości artystka stworzyła obrazy, jakby nie z tego świata. Odnosi się wrażenie, że są to sceny z filmów fantasy lub science-fiction. Wydobyła z kolorowych kartek papieru wizualizacje ludzkich stanów podświadomości. W tych niemal surrealistycznych dziełach nic nie jest normalne, a każdy przedmiot czy postać pochodzi jakby z psychodelicznego snu. Sen ten nie przypomina nawet bajki, ale nierealne wytwory ludzkiego umysłu.

Pochodząca z Chechła artystka zaproponowała nam sztukę jakże odmienną od tej, którą często możemy podziwiać na co dzień, ale sztukę, wobec której nie można przejść obojętnie.

Wystawę można oglądać do końca marca.



Barbara Hasiuk-Luter

Wystawa zrealizowana w ramach operacji „Organizacja wystaw i spotkań autorskich lokalnych twórców – modernizacja galerii Domu Kultury w Żelowie”, działanie 4.13 „Wdrażanie lokalnych strategii rozwoju” dla małych projektów objętego PROW na lata 2007-2013, współfinansowanej ze środków Unii Europejskiej – Europejskiego Funduszu Rolnego na rzecz Rozwoju Obszarów Wiejskich.



Bez nadziei życie jest beznadziejne

Z Januszem Majewskim o Lwowie, wojnie, Krakowie i filmie rozmawia Mirosław G. Majewski

Mirosław Majewski: – Lwów, dla wielu jest miejscem magicznym. Czy takim jest też dla Pana?

Janusz Majewski: – Lwów jest miastem mego urodzenia, był moją małą ojczyzną, więc kiedy mnie z niego wykorzeniono siłą rzeczy stał się krainą mityczną, miejscem mojej nostalgii, ale czy jest miejscem magicznym? Tym mianem obdarzamy miejsca obce, nowo poznane, które nas oczarowują swoją atmosferą, ulegamy ich magii, żyjemy tym jak zaczarowani, aż do wyjazdu, po spędzeniu tam krótszego, lub dłuższego czasu, a potem wracamy we wspomnieniach, dopóki magia się nie ulotni. Dla tubylców to konkretne miejsce, konkretne przywiązanie, konkretna miłość, nie coś ulotnego, jak magia.

– Zanim dojdziemy do Krakowa, zatrzymajmy się na chwilę, w małej, podkarpackiej wsi, Pantalowice...

– Uciekliśmy ze Lwowa mając tylko pół godziny na zapakowanie się do czterech walizek (jednej na osobę), bo ojciec został ostrzeżony, że jego komórka AK wpadła i zaczęły się aresztowania. Wywiózł nas jakiś Austriak za sowitą zapłatą, ciężarówką, schowanych za belami bawełny. Jechaliśmy do Pantalowic, bo tam moja mama miała wuja, księdza proboszcza i liczylimy na jego opiekę. Z tą opieką było różnie i tam dogoniła nas wojna w najczystszy wydaniu: przez wioskę przeszedł front, na naszych oczach rozegrała się bitwa, którą obserwowałem jak scenę w filmie batalistycznym. I jak w takim wojennym obrazie, tuż przede mną kryjącym się w lichej ziemiance, padł młody żołnierz rosyjski trafiony kulą prosto w czoło. Można powiedzieć, że zobaczyłem jego śmierć na zbliżeniu, w tej sekwencji bitwy. Tego zbliżenia nigdy nie zapomnę. Po różnych wydarzeniach i po paru miesiącach spędzonych na wsi, a potem w małym mieście Przeworsku, kiedy Kraków został wyzwolony, pojechaliśmy tam. Mieszczuchy wróciły do miasta, do Lwowa już nie było po co wracać. Opisałem to wszystko w książce, a potem w filmie „Mała matura”.

– Jesteśmy w Krakowie, w niezbyt ciekawym okresie politycznym, kiedy hasło: **Bóg, honor, ojczyzna, nie ma najlepszych konotacji. Jak wyglądało życie nastolatka, gimnazjalisty, licealisty w tamtym czasie?**

– Pierwsze dwa lata zapamiętałem jako okres ciężki, ale optymistyczny: skończyła się wojna, ludzie z zapałem zabrali się do odbudowy,

życie zaczynało się normalizować. W kinach, obok radzieckich, pokazały się filmy zachodnie: wojenne angielskie (pamiętam do dziś tytuły: „San Demetrio”, „Jeden z naszych samolotów zaginął”, „Nieuchwytny Smith” z Leslie Howardem), francuskie („Skarb rodziny Goupi” Jacquesa Beckera, „Komedianci” Marcela Carne) i wreszcie amerykańskie („Mściwy jastrząb” Howarda Hawksa, „Serenada w Dolinie Słońca” z orkiestrą Glenna Millera) a wraz z nimi jazz, który nas zafascynował. W Krakowie dużo się działo, bo miasto przyjęło najpierw falę warszawskiej inteligencji, po upadku powstania, potem wygnańców ze Lwowa. Zaczęły grać teatry, ukazywać się książki, pierwszy numer „Przekroju” wyszedł 15 IV 1945 roku, jeszcze nim padł Berlin i od razu stał się naszą wyrocznią: informował, komentował, uczył dystansu, poczucia humoru. Na prowincji, w lasach trwały jeszcze walki reżymu z podziemiem, ale do Krakowa to nie docierało, przynajmniej my, czternasto – piętnastolatki nie wiele o tym wiedzieliśmy, może po prostu nas to jeszcze nie interesowało. Dopiero pogrom kielecki, a potem referendum „3 x tak” nami wstrząsnęły. Znowu odsyłam do mojej „Małej matury”, książki i filmu.



Janusz Majewski.

Fot. Marcin Kułakowski, PISF

– **Poznaje Pan Sławomira Mrożka, obraca w środowisku artystycznej bohemy Krakowa, czy w tamtym czasie długo czekało się na kelnera w restauracji?**

– No, z tym obracaniem się wśród artystycznej bohemy, to duża przesada. Pretendowaliśmy do niej i to później, kiedy zaczęliśmy stawiać pierwsze kroki, ale ja wyjechałem na studia filmowe do Łodzi i już nigdy na dobre do Krakowa nie wróciłem.

Spędziłem w nim tylko dziesięć powojennych, młodzieńczych lat, pomimo to często słyszę: ty rozumiesz te klimaty, przecież jesteś z Krakowa. Cóż, widocznie rzeczywiście: czym skorupka za młodu nasiąknie... Co do czekania na kelnera, to rozumiem do czego Pan pije (nomen omen). Chodzi o mój film

absolutoryjny w szkole filmowej: „Rondo”, w którym zagrał Mrozek, a także drugi Krakus, kolega ze studiów na Architekturze, Stefan Szlachtycz. W tej surrealistycznej grotesce oni m.in. tańczyli tango (gość z kelnerem!). Rzeczywiście była to epoka cichej wojny, bojkotu gości przez kelnerów i pewnie to było jakimś zarzewiem mojego scenariusza, ale ten krótki film był tylko metaforą z ambicjami egzystencjalnymi. I jak teraz widzę, w jakiś sposób, nie chcąc zdeterminował naszą przyszłość: Mrozek napisał „Tango”, co otworzyło mu sceny świata, Szlachtycz zdecydował się pójść moim śladem do szkoły i potem został długoletnim naczelnym reżyserem telewizji polskiej, a ja po latach odkryłem Marka Kondrata i dałem mu pierwszy impuls do zawodowej kariery, rolę kelnera w „Zaklętych rewirach”. Puenta jest taka: grubo po tym wszystkim dostaliśmy z Markiem tytuły „Honorowych Prezesów Krajowego Stowarzyszenia Kelnerów”. Marek jeszcze do dziś jest częstowany w różnych restauracjach dobrymi trunkami i kiedy chce płacić, zawsze słyszy, że „od kolegi nie bierzemy”.

– **Należy Pan do nielicznych reżyserów, którzy nie dali się zaprząć do kręcenia socrealistycznych, fabularnych agitek na zamówienie władz PRL. Jak Panu udało się tego uniknąć?**

– Śmiesz mnie wyobrażenie o PRL młodych, żyjących dziś ludzi, zbudowane na wersji współczesnych historyków, którzy tworzą ją przez przyzmat tych żalonych teczek. Co innego było działanie opozycji i walka z nią aparatu władzy, co innego fatalna sytuacja ekonomiczna i społeczna kraju pod „dyktaturą proletariatu”, czyli jak to określali marksisci „baza”, a jeszcze co innego „nadbudowa”, żeby pozostać przy tej drętwej teorii, czyli najogólniej mówiąc kultura. Oni mimo wszystko nie byli w stanie kontrolować myśli jednostek, wydawało się im, że kontrolują świadomość mas, ale jednostki prawdziwie wolne duchowo, pozostają wolnymi nawet przykute łańcuchem do ściany lochu. Dlatego mieliśmy w tamtych czasach sztukę wybitną, budzącą podziw świata, ponieważ była tworzona przez ludzi uciskanych, ale wolnych duchem. Mam na myśli i literaturę, i teatr, i plakat, i muzykę, a w końcu nawet i film. Oczywiście, Zachód interesował się naszą sztuką z powodów politycznych, zdawali sobie sprawę, że każde takie dzieło, to pęknięcie na skorupie socjalizmu, ale przecież nie wszystko miało kontekst polityczny.

(Dokończenie na stronie 4)

Bez nadziei życie jest beznadziejne

(Dokończenie ze strony 3)

Czy „Sanatorium pod klepsydrą” było polityczne? Czy muzyka Bairda lub Kilara była polityczna? Czy plakaty Lenicy były socjalistyczne w formie? Czy proza Iwaszkiewicza była agitką? On wkładał górniczy galowy mundur ku uciesze dostojnych durniów z Komitetu Centralnego, ale tworzył prozę, jakiej dziś próżno szukać w naszym wolnym świecie. Ja nie wiem, czy dzisiejszemu artyście jest łatwiej tworzyć, chociaż jest niby totalnie wolny? Czy presja rynku, popkultury, prawdziwa dyktatura miernoty, prymitywizmu i gustów hołoty nie ogranicza go bardziej niż ówczesna cenzura, bo odbiera mu wszelką motywację, poza jedną: motywacją komercyjną?

A jak ja uniknąłem kręcenia socrealistycznych agitek? Nie wiem. Może ten wyznaczony dla mnie nadzorca, kozak z naganem, który miał mnie pilnować i instruować i od czasu do czasu wysmagać nahajką, upił się gdzieś po drodze, zgubił mój adres i nigdy do mnie nie trafił, więc ja zacząłem udawać wariata i uprawiać mój mały eskapizm, aż machnięto na mnie ręką. Tak ich ogłupiłem, że za wszystko płacili.

– **Czy jako uczeń gimnazjum krzychał Pan: Co to za milicjant?**

– Tak, krzychałem na widok brutalnego bicia przez niego kobiety na ulicy. Krzychałem nawet: co to za milicja?! A ponieważ działo się to na marginesie manifestacji antyrządowej na Rynku krakowskim, to mnie aresztowano pod zarzutem politycznym, mimo, że bita była pijanym lumpem. Uratowałem się, tłumacząc, że krytykowałem nie milicję a jednego milicjanta... – znowu odsyłam do mojej powieści, filmu.

– **W Pana ostatnim filmie, *Mała matura 1947* jest scena, w której major Trzaska czyta Ludwikowi Taschke protokół z przesłuchania, z którego wynika, że Ludwik urodził się 5 sierpnia 1931 roku we Lwowie. Dlaczego akurat ta, a nie inna data?**

– To jest data mojego urodzenia. Taka zakamuflowana informacja, że mój bohater ma coś wspólnego ze mną. Oczywiście, dla wta-jemniczonych.

– **Panie Januszu, wielu reżyserów miało problemy z cenzurą, przy jakim filmie, o ile w ogóle toczył Pan z tym archaicznym urzędem jakieś boje?**

– Miałem też z tym do czynienia, ale na wyższym szczeblu niż ulica Mysia. Mój film

Lekcja martwego języka nie spodobał się premierowi Jaroszewiczowi, więc polecił szefowi kinematografii mnie ukarać. Ten mógł mnie np. pobić, zamknąć w ciemnicy lub ukarać mandatem, ale wolał zmasakrować mi film, a tego postanowiłem bronić, jak książd Kordecki Częstochowy. W paru miejscach poległem, ale całość obroniłem. Nie wdaję się w szczegóły, bo to dla współczesnych bajka o żelaznym wilku.

– **Z Pana wcześniejszych filmów uwielbiam *Sublokatora*, a czy Pan ma taki, który darzy szczególnym sentymentem?**

– Tak, właśnie ten powyżej wspomniany, *Lekcja martwego języka*. Właśnie: darzę sentymentem. Bo najbardziej dumny jestem z *Zaklętych rewirów*. Wydaje mi się, że osiągnąłem w nim profesjonalny poziom nieco powyżej średniej krajowej, co mnie, formalistę (za jakiego podobno uchodzę) kręci najbardziej.

– **Podobno KTT po obejrzeniu *Zaklętych rewirów* powiedział, że gdyby to zależało od niego, to Roman Wilhelmi za rolę Roberta Fornalskiego otrzymałby Oscara. Czy podziela Pan to zdanie?**

– KTT tak napisał w swojej entuzjastycznej recenzji. Ja też, gdyby to ode mnie zależało dałbym Romkowi Oscara. Więcej powiem: dałbym go też Markowi Kondratowi.

– **W *Małej maturze 1947* po kilkuletniej absencji na ekranie, pojawia się, odzegnujący od aktorstwa Marek Konrad. Jak do tego doszło?**

– Za pomocą telefonu. Zadzwoiłem i powiedziałem: Marek, w poniedziałek masz pierwszy dzień zdjęciowy. Przyjechał.

– **CK *Dezerterzy*, film, który podbił serca milionów widzów. Ja sam do dziś używam pewnej kwestii z tego obrazu: *Bo życie jest jak wielki, żelazny most. Dlaczego? Nie wiem!* Czy spodziewał się Pan aż takiego sukcesu tego filmu?**

– Tak kwestia jest autorstwa Ryszarda Nyczki, mojego w tym filmie asystenta, obecnie reżysera, autora niedocenianych komedii. Też się nią zachwyciłem i za jego zgodą użyłem w filmie. Aż takiego sukcesu się nie spodziewałem. Nie jestem do takiego stopnia zarozumiały, wstydzil bym się.

– **I na koniec pytanie banalne, ale, które muszę zadać, Czy my, wielbiciele pańskich filmów, możemy mieć nadzieję na kolejny?**

– Nadzieję zawsze warto mieć. Bez nadziei życie jest beznadziejne.

Kacper Płusa

fermentacja

wyobraziłem sobie, że twoja twarz ma kształt jabłka jak grzech i dojrzeła we mnie pod powierzchnią skóry. obudziłem się. dotknąłem świeżego zarostu.

policzek i metal nad umywalką były nauką odchodzenia w tworzywo. krew gęsta jak moszcz to ślad kontaktu z ostrzem, spływa, kropla po kropli, barwi wodę.

nad rozlanym winem lepsze niż płacz jest milczenie. chodzi przecież jedynie o wyrabianie smaku, zgodę na gorycz.

nekroza – wiersz o sygnalizacji świetlnej

kwiecień jest tylko zielonym chłopcem z sygnalizatora, występuje do dwudziestej drugiej. potem zatapia się w miękkie. wiosenni neofici wybałuszają meble, poszukują pluszu w mahoniowych brzuchach: metodą po misiach do dziewczynke kładzione na stole są jak karty bez pokrycia. tracą na wartości. inaczej z krwią trupy wyprowadziły się z szaf. śmierdziało formaliną, starymi lalkami, które choć martwe, poszły grać w kości z arturem Rimbaud. dowiedziały się z przewodników po piekle, że ktoś je kiedyś kochał. o zmroku czerwień brzmi nieprawdopodobnie, jak sierp i młot albo żelazo, póki nieletnie.

me – dial – log

przestajesz istnieć w dniu, w którym gazety wypalą ci numery stron na skroniach. jabłko adama zostawisz na rogu ulicy. odniosą je

do demokracji, do literatury w szpaltach, bez rozgłosu. w miejscu przeznaczonym na martwą rybę zwyczajem camorry. tlen jest zagrożeniem, zaklinaniem w krtani.

nie drży, nie dudni głos wołającego w szklane dno butelki :nie pręż mięśni, nie porzucaj ziemi. na klatkach schodowych duszą się nie twoje dzieci.

MNIJ WIĘCEJ (97)



Stan przejściowy

Wczesne debiuty wciąż jeszcze zaskakują, zwłaszcza, gdy odnosimy wrażenie, że ich poziom przerasta wiek autorów. Dla mnie takim debiutem była powieść „Droga do tam” wydana przez 17-letnią Anitę Wiśniewską z Miastka. Poznałem zresztą młodą autorkę, gdy w Turowie (obok Miastka) prowadziłem latem 2011 roku warsztaty poetyckie zorganizowane przez Stowarzyszenie Salon Literacki. Anita była już wtedy świeżo upieczoną absolwentką gimnazjum i wygrała konkurs międzyszkolny, którego nagrodą była dalsza nauka w Liceum im. Słowackiego w Warszawie.

LESZEK ŻULIŃSKI

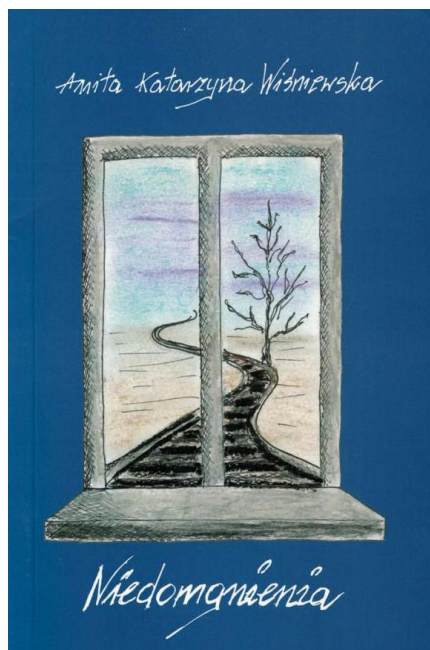
Tak więc Anita tutaj kontynuuje swoją edukację. Wraść coraz dzielniej w nasze miasto i przede wszystkim pisać wiersze (które zostały już dostrzeżone w ponad trzydziestu konkursach). I właśnie ukazała się jej druga książka – tomik poetycki zatytułowany *Niedomgnięcia*. Sama autorka mówi: *„Dlaczego mój tomik nosi tytuł „Niedomgnięcia”?* Półtora roku temu zmieniłam swoje życie praktycznie od podstaw. Przeprowadziłam się z Miastka do Warszawy. Był to dla mnie bardzo duży przeskok. Czasami mówi się, że coś wydarzyło się w mgnieniu oka, czyli bardzo szybko. A więc niedomgnięcie to jest coś jeszcze krótszego, bo to jest ten krótki moment, kiedy jeszcze nie otworzyło się oczu, ale już się je zamknęło. Taki stan przejściowy. I większość tych wierszy pochodzi właśnie z takiego stanu przejściowego...

I rzeczywiście. Ten tomik jest zapisem jakiegoś cezur, jakiegoś „stanu migracji”, zderzenia dwóch światów, zdziwienia zmianą sytuacji życiowej, która także stanowi „przewrót kopernikański” egokosmosu. Wszystkie te wiersze są opatrzone informacją o miejscu i dacie ich powstania. To tylko dwie miejsco-

wości: Miastko i Warszawa. Ta prosta geografia wyznacza jednak przestrzeń egzystencjalną, w której dzieje się „transgresja” Anity. Transgresja to chyba zbyt duże słowo, ale wyobrażam sobie, jak istotne w tego typu przypadkach, bowiem w wielu twórczościach mieliśmy okazję obserwować podobny rubikon biograficzny.

Jeden z czterech rozdziałików tego tomiku nosi tytuł *Świat przestawiony*. Ładna gra słów i dokładnie określająca nowe doświadczenie Autorki, będącej wciąż w swoim Miastku i już w Mieście. Jest w tym wszystkim jakieś zdziwienie i rzeczywiście „niedomgnięcie”. I cała masa innych wrażeń, które wynikają z tego mobilnego momentu życia, jaki niesie pytanie o tożsamość.

Dochodzi na szczęście w tych rozterkach do jakiegoś spojenia mostu, do zrozumienia ciągłości, czego jednym z przykładów jest wiersz pt. *Trwanie: na mój zeszyt spadł liść / patrzy na mnie wypinając drżący ogonek / śmieje się // bo to jest wciąż ten sam wiersz // mój wiersz ubrany w bluzę lub koszulę w kratę / mój wiersz przy komputerze parujący nad kubka herbaty / mój wiersz oczy brązowe zielone brązowo-zielone / gnający spod palców syrenim śpiewem / skompresowany w sms-ie / taki przewidywalny w tym że kiedyś minie / paradoks // bo to jest wiersz wciąż i wciąż ten sam wiersz / tylko adres inny.*



Ten zbiorek ma cechy arkusza poetyckiego. Wprawdzie zawiera 36 wierszy, ale brak mu numeru ISBN, o co nie zadbał wydawca, a szkoda. Z drugiej jednak strony to znakomity „rozruch” tej naprawdę młodziutkiej Autorki. Na wszystko przyjdzie pora, czego jestem pewny. Teraz warto zaanonsować jej istnienie i pisanie – jestem szczerze przekonany, że nazwisko Anity Wiśniewskiej, jeśli jej losy twórcze potoczą się bez wstrząsów, z biegiem lat stanie się znane.

Na koniec: Anita w Turowie była tak

„zaskakującą” uczestniczką warsztatów poetyckich, że wtedy napisałem o niej wiersz. Załączam go na koniec tego felietonu...

Anita Katarzyna Wiśniewska, „Niedomgnięcia”. Wydawca: Urząd Miejski w Miastku 2013, s. 52.



Anita K. Wiśniewska

Zwycięstwo

Napiszę tysiąc wierszy

Dziewięćset
deszcz rozmyje w bure kałuże.

Dziewięćdziesiąt
będzie ziarnem rzuconym na skały

Dziewięć
spalonych ciemną nocą

Jeden
zdołędzie świat.

Leszek Żuliński

Anita

mam głowę przepelnioną kanonem,
poezję poddaję codziennej obdukcji znaczeń
i sensów,
im dłużej rozmawiam z nią, tym mniej wiem
i pod krążkami słów przemykam coraz
bardziej
złknięony ich wyświechtaną pustką, także
własną niemocą,
która coraz bardziej jasna, więc mroczna

siedemnastoletnia Anita zastępowała mi
drogę,

w rękę gniołła kartkę papieru,
z drżeniem serca pokazywała mi nowy wiersz,
chciała wiedzieć, czy wszystko ok, czy ten
wiersz

stanął na wysokości zadania

po rozmowie przyciskała kartkę do piersi
i zniknęła jak zjawą

ja zostawałem wryty w jej nadzieję; płonąłem
tym ogniem; na szczęście ona nie widziała już
kupki popiołu, do którego sama zmierza
jak ćma. tego jej nie mówiłem.

Wojciech Kawiński

Ułomny słuch syna

*Ja tam jestem a tu jeszcze bywam
J.M.R.*

na tyle się tak stało
że to już nie było ciało:
lecz pamięć o nim w pół-zdania
na wargach zatrzymana

bezwiednie weszło nam w krew
pomijając głód wszelaki:
i echo wojennej poniewierki
wbrew sobie i tobie wbrew

na tyle tak to znów jest
że zbędny jest każdy gest:
gdzieś gleba wessała garść cienia
na miarę naszego milczenia

Ryszard Biberstajn

* * *

Eleonorze

gdy wieczorem zasypiamy
widać jak senne mgły
związują kolejny dzień
w tobołek do wspólnego
poniesienia

rano budzę się przy tobie
i czuję na powiekach
muśnięcie twego snu

ten rytm sprawia
że wiara w cuda
jest możliwa

Niektórzy nie lubią

Wisławie Szymborskiej

niektórzy nie lubią Szymborskiej
tak jak nie lubią
kaszy gryczanej
nie ważą słów
jak nie dozują jedzenia
grubiej im skóra
rozdrapują to co ich boli
dzielą włos na czworo
i łysiej im dusza

na puste miejsca
przykładają balsam
z romantyków

na wczorajszą młodość
ludzi na moście
parę wierszy
z ostatniej
chwili

Koncert w Rokosowie

Synowi

zmrok głaszcze stare mury
i osiada na trawnikach
ptaki zaprzestały treli
i szykują się do odlotu

dźwięki Chopina toczą się
po schodach pałacu
i znikają w parkowych alejkach

serce drży z zimna

w takt preludium
rygluje bramy jesieni

Piątek

spóźniona wiosna
spija deszcz

droga
przez zatłoczone miasto
i w górę

ukrzyżowany dzień

u stóp
już tylko
kobieta i mężczyzna

deszcz spływa
po drzewie
kroplami krwi

Joanna Ratajczak

Dialog kochanków

– Nie miałabym
sumienia
– Nie byłbym
gdybyś miała

Pytania

Miłość snuje się
wymyka z rąk

Dom się zamyka

Twoje kapcie
niedopałki zegarek

Wsluchuję się
czekam

Twój suchy kaszel
dobiega z bramy

Czy jest dobrze

Czy jest Ci dobrze

Mgnienia z Pragi

Lunety na murach miasta
rzygacze na katedrze gotyckiej
dzwony
malownicze uliczki
pałace słońce
obcasy i buciki
okulary przeciwsłoneczne
zmiana warty
kręte uliczki z kocimi łbami
skarbonki porozwieszane
pełne i puste kafejki
święte obrazki
rytuały
rzeźby na bramach wstępnych
przewerniksowane arcydzieła
parkingi i przystanki
zderzenia przypadkowych ludzi
wycackane landszafty
sentymtalne skrzypki
pęknięte łuki i usta
kolorowe flagi
numery budynków
znaki przystankowe
oglądanie, zbieranie, uciekanie
do bezdomnych kamieni i rzeźb
poświęcone drzwi wejściowe do kamienicy
stare antykwariaty
dwoje kochanków siedzących na kocich
łbach

żebrzących
pomnik komunizmu wtopiony w krajobraz
mieszkańskiej architektury
rytmiczne stukanie laską
nadstawki, podstawki
barokowe rzeźby i krągłe kobiety
poruszające biodrami
przepych budynków
stłoczenie ludzi
kraty w oknach
rzygacze w katedrach gotyckich
spoglądające z góry
dużo powietrza
wschodzące filary
przejścia, wejścia, podcienie
koszyk wiklinowy dla ludzi i zwierząt
i ja bez perspektyw

Redukcja skali

Czasem
się gdzieś schować
w zakamarkach mebli
wsunąć w fałdkę
ciepłych
przymarszczonych zasłon
w zupełnie bezludnym
ciemnym pokoju

Jan Kurowicki

Do Christiana Andersena

Drogi panie Christianie, głupio, że się tak do
 ciebie zwracam. Równie
 Dobrze mógłbym rzec: panie Boże, panie
 Trupie, panie Nikt, panie
 Wczorajszy Dniu itd. Nic to nie znaczy, jak
 choćby linijka z twych baśni.
 Ale kiedy to czynię, Christianie, mam powód:
 Powiedz, czemu ludzie
 Tak mało dobrej woli przejawiają w swym
 umieraniu? Trwają w więzach
 Ciała, jakby żyła w nich nieskończoność. Są
 byle jacy w miłości, wciąż
 Nienasyceń, oszczędni i skrupulatni w
 przemijaniu. A jeno troska i
 Niepewność w nich swawoli. Trzymają się
 jednak siebie, jak ziemia swej
 Obręczy. Twoje wróżki są zgorzone. Psuje im
 to zwykłość czarów,
 Pięknych dystansem śmierci. Oni zaś kluczą,
 kryją się za nieobecne
 Szaty króla, i twe bajki czytają na opak, jakby
 nie były one winem w ich
 Trwaniu. Wiem, że nie ty za to odpowiadasz,
 bo na skrzydłach słowika
 Pofrunąłś w muzykę sfer. Ale tego wiersza też
 nie ma.
 Jest zwykle, szaro, normalnie. I każdy liczy na
 przeliczenie.

Ten najlepszy ze światów

Na tym najlepszym ze światów pewien
 Mędrzec nauczał, że dusza jest
 Więzieniem ciała. Układa się ono za jej
 kratami, i tylko zmienia w jej
 Mrokach pozycję. Dowodził, że tworzą ją
 rodzice, księża policjanci, kaprale,
 Fabryczni nadzorcy, redaktorzy, nauczyciele,
 wrogowie, przyjaciele,
 Wyręczając w tym Boga, który śni światło
 w puchu obłoków, albo gra w
 Pokera z Lucyferem, by zwyciężał przypadek.
 Powiedziawszy to Mędrzec
 Uczynił pauzę, kaszlnął, wytarł nos chusteczką,
 podrapał po czole, jakby badał
 Granice swej duszy i mówił, że ogarnia ona
 ciało nawet ciałem kochanka.
 Jest też wzrokiem, smakiem, słuchem i
 dotykiem; jest wszystkim tym na raz.
 Choć czasami śpi, a wtedy wyzwała pragnienie
 rozgłębienia krat, i marzenie o
 staroświeckim wizerunku tego z krzyża,
 z promienistym sercem na piersi, który
 Chciał ciało pozbawić niewoli, a duszę posłać
 w sen światła. Lecz wyzwała
 Nie na długo, nie na długo, nie na długo, bo
 budzi ją nawet drobny powiew takiego
 Marzenia. Ogarnia je wówczas ona i zamyka od
 środka i od zewnątrz. I Mędrzec
 Zamilkł na tym najlepszym ze światów. Bóg
 śnił swoje lub grał w pokera z

Lucyferem, i zawsze wygrywał przypadek. Ja
 zaś, zwykły człowiek, który
 Temu się przysłuchiwałem, skuliłem się w
 sobie i poczułem tylko, że ktoś
 Przekręca klucz w zamku.

Ewa i jej Raj

Ewa, pytana czego pragnie, mówi: śmierci.
 Kilka razy próbowała się
 Jej oddać, lecz wąż zwykłości był silniejszy. Za
 włosy ją wyciągał
 Do garów i dzieci. Ale dużo piła: piwo, wódkę,
 wino, denaturat, choć
 Bała się tego węża, wijącego się w jej trwaniu.
 Pozwalała też, by ją kochano. „To grzech
 przepuścić takiej dupie”,
 Słyszała zewsząd. Nawet to ją bawiło. Miało ją
 więc wielu. Pletli się
 Z jej ciałem, jak włosy wokół głowy. Trzeba
 przyznać: żaden
 Nie zostawił samej sobie. Obdarzał brzuchem,
 jak przystoi każdemu
 Adamowi. A nim wpadła w delirium, pojawił
 się nowy Adam.
 Używał dezodorantu, mył się, porównywał jej
 ciało do drzewa
 Wiadomości, tak pięknie, że przeżyły się jej sutki
 i drżała. Gdyby
 Nie to, że w delirium z paszczy węża wyfrunęły
 i obsiadły ją motyle,
 Wchodziły do nozdrzy, ust, łączyły po brzuchu,
 wpełzały do macicy,
 Może nie pragnęły już śmierci?

Na odtruciu jest spokojna. Pytana czego
 pragnie, odpowiada jednak:
 Śmierci. I godzinami rozwiązuje krzyżówki
 z „Rewii rozrywki”.
 Cieszy się, że wie, co to Wielkanoc, kocenie się,
 ocena; kto jest
 Mądrzejszy od kury; co znaczy: sens, istota
 czegoś, kapusta, agresor,
 Himalaista. I motyle znikają pod językiem węża
 zwykłości. Raj, naprawdę
 Raj, bo nikt nie zna innej nazwy jej stanu. Nie
 ma takiego hasła w
 „Rewii rozrywki”. Ewa patrzy więc przed siebie
 wielkimi, czarnymi
 Oczami. I figluje w nich spokój niezgody.

O tym że pada deszcz

Przez kilka godzin rozmawiałem z kobietą:
 starą panną,
 Która wszystko, co najgorsze, ma za sobą. Jest
 spokojna jak
 Kałuża schnąca do dna. Ma za sobą burze,
 rozczarowania,
 Nadzieje, lzy; pamięta też jak była dzieckiem na
 wsi
 Pod Kielcami. Siedzieliśmy naprzeciw siebie.
 Ona stuliła
 Kolana i otwierała szeroko usta. Był wieczór,

potem
 Prawie noc. Minuty rozgniatane jak wszy
 trzaskały
 W zegarze. Rozmawiałem z kobietą, która jest
 kobietą,
 i tyle było w nas obojętności, że tego nie
 zauważyliśmy.
 Padało i rozmowa się kleiła

Dyspozytorka ruchu

Pracuje na kolei, więc ma bezpłatne bilety w
 każdą stronę, lecz jako
 Dyspozytorka Ruchu jest przywiązana do
 jednego miejsca. Czuje się
 Okiem Boga dla wszystkich pociągów. I nudzi
 się dzień po dniu,
 Dzień po dniu, dzień po dniu, dzień po dniu,
 zgodnie z ich ruchem i
 Rytmem. Gdyby nie senność i ciągłe
 zmęczenie, mogłaby marzyć,
 Lecz nawet podróże chodzą w jej wyobraźni jak
 bezpańskie psy.
 Nie umie więc pokochać nawet swego ciała,
 które porusza się tak, że
 Powietrze nabiera bez troski, i wszystkie rzeczy
 stają się światłem, bo
 Dzień po dniu są funkcją rozkładów jazdy.
 A ona
 Między zmianą i zmianą.

Córka Józefa K.

Została urodzona, bo przez roztargnienie jej nie
 wyskrobano.
 Tyle przecież było zachodu o dobre imię,
 interesy, papiery, że
 Ginekolog bezradnie rozłożył ręce. Przy okazji
 narodził się jej
 Bóg, jak i inne rzeczy: z samego aktu
 nazywania. Obok kamienia,
 Drzewa, ptaka, wody, które nazywamy
 światem. Kiedy przyszło
 Kochać, nie zdążyła nawet pomyśleć, bo samo
 się pomyślało.
 Dziecko też jej zrobiono szybko, jak i inne
 zależności. Jest
 Sprzątaczką w Urzędzie. Wśród petentów mija
 ją zamyślony ojciec,
 Czasami się uśmiecha. Mogła sądzić, choć nic
 nie jest i nie było
 Jej sądzone. Klepie biedę, ogląda telewizję,
 zwłaszcza programy dla
 Kobiet, którym wszystko się udaje. I marzy. Ale
 jest podejrzliwa
 Nawet wobec własnego oddychania. A Bóg
 zapomina, że istnieje
 Tylko jej bezwiednym wyrokiem.



EWA CICHOCKA

Deja vu w Cefalu

Latem Cefalu jest gwarnym kurortem północnej Sycylii. Po sezonie można siedzieć samotnie na plaży, patrzeć na morze, rybackie łodzie, domki i katedrę pod wielką górą. Wszystko na tle ciężkich chmur, żaróżwionych ostatnimi promieniami słońca – jak na starym obrazie. Gdyby nie elektryczna iluminacja wież Duomo, można by przypuszczać, że to Cefalu kilkaset lat wcześniej.

Zaledwie godzina jazdy pociągiem dzieli stolicę Sycylii – Palermo z Cefalu, małym, nadmorskim miasteczkiem. Można tu zagubić się w wąskich arabsko-normańskich uliczkach, wciśniętych między morze a górę La Rocca.

Wspinaczka na jej szczyt zaczyna się schodami, które można odnaleźć skręcając w prawo z Via Umberto I (kierując tabliczki – Tempio di Diana). Domki i strome uliczki są niemal „przyrośnięte” do wielkiej góry. Dachy i balkony znajdują się niebezpiecznie tuż pod skalnym nawisem. Wznosząc się coraz wyżej, kamienną trasą w sosnowym zagajniku widać poniżej morze czerwonych dachówek nad domami Cefalu i rozległą Zatokę Termini, gdzie wielkie bałwany rozbijają się przy brzegu i suną szerokimi, białymi łukami po pustej plaży.

Na szczycie La Rocca – blisko 300 m n.p.m., do dziś pozostały resztki dawnych murów obronnych i twierdzy, w której osadzono ponoć Karola Andegaweńskiego, zwanego „Ułomnym”, podczas Nieszporów Sycylijskich (kiedy to Sycylizjczy powstałi przeciwko zniemawidzonym Francuzom). Są tam także pamiątki jeszcze odleglejszych i tajemniczych czasów – ruiny prawdopodobnie dawnej świątyni Diany. Sądzi się, że miasteczko swoimi początkami sięga IX w p.n.e. do czasów panowania Sykulów, jednego z trzech plemion zamieszkujących Sycylię przed podbojami Grecji, Kartaginy i Rzymu.

Duomo oczami mistrza

Chyba wszystkie drogi w Cefalu prowadzą do słynnej katedry. Po drodze przy głównej ulicy (Ruggiero) mija się Pałac Osterio Magno, domniemany pałac króla Rogera II, twórcy normańskiej potęgi XII-wiecznej Sycylii, nazywanego „ochrzczonego sułtanem”. Podczas swoich trzynastu podróży na Sycylię, Jarosław Iwaszkiewicz trafił także do małego Cefalu. Nie krył zachwyty wyjątkową katedrą: „Domki małe, niepozorne. Mija się je ze smutkiem i pewnego rodzaju zawstydzeniem. I nagle olśnienie: wychodzi się zza rogu zwyczajnej uliczki i wprost w oczy uderza olbrzymia, potężna katedra stojąca na obszernym placu. Widok tej budowli jest tak niespotykany, że człowiek zatrzymuje się na chwilę, bo mu tchu zabrakło w piersiach” – pisał Mistrz we wspomnieniach.

Na placu przed Duomo po sezonie, pełno jest poskładanych kawiarnianych parasoli i

stolików. Nie ma za to prawie żadnego turysty. W górze samotne palmy, bliźniacze „potężne i rycerskie” wieże katedry i wielka góra za nimi – zmuszają do zadzierania głowy. Przed portalem katedry umieszczono kolumny. Czas, woda i wiatr zatarły już nieco rzeźbienia kapiteli. W środku trzynawowy kościół o układzie bazylikowym na planie krzyża łacińskiego, w którym nawy podpira 16 rzymskich kolumn, które być może pochodzą ze świątyni na górze La Rocca.

Nie ma też prawie nikogo w wielkim wnętrzu. Jak zauważył przed laty Iwaszkiewicz – „opuszczona świątynia wśród ludzi.” Siedząc w półmroku można w skupieniu przyrzeć się Chrystusowi w absydzie pod pięknym cedrowym dachem. Gigantyczna mozaika, jest ponoć najstarszą i najpiękniejszą na Sycylii. Oblicze Chrystusa Pantokratora jest bardziej bizantyjskie, niż starsze mozaiki w Monreale czy w palermitańskiej Cappella Palatina.

Przeglądając się obliczu Chrystusa, widać, że ma rysy – greckie, jasne włosy – jak u Normanów oraz czarne oczy i brodę – jak Arabowie. To idealne połączenie kultur i religii, które spotkały się tu przed wiekami i stworzyły unikalną harmonię. (Roger II – fundator świątyni, pochowany został w arabskim stroju z krzyżem w rękach). Czytam u Iwaszkiewicza: „(...)bóstwo nierealne i pogrążone w złocistej, nieuchwytniej przestrzeni świecącej zdawałoby się własnym światłem mozaiki”. (...) Oczy Chrystusa są wszechobecne, i spoglądają na ciebie, gdziekolwiek staniesz pośród piętrzącej się masy kamienia”¹.



Cefalu

W lewej dłoni Chrystus trzyma otwartą Biblię z cytatem po łacinie i w grece z Ewangelii św. Jana, który brzmi: „Ja jestem światłością świata. Kto idzie za Mną nie będzie chodził w ciemności.” Poniżej kolejne mozaiki – Marii i archaniołów, niżej apostołowie, świętych i proroków „spacerują w złotym mżeniu”.

Złote mozaiki wykonane zostały ponoć według koncepcji samego króla Rogera II przez bizantyjskich artystów-rzemieślników z Konstantynopola. Jak podaje Iwaszkiewicz, pozostałe mozaiki katedry zniszczono, a przedstawiały ponoć króla i jego potomków podczas codziennych zajęć, modlitwy i polowań.

Jak czytamy w przewodniku, tu w Cefalu

chciał spocząć na zawsze król Roger, cudem ocalony w pobliżu podczas morskiej burzy w 1131 roku. Ponoć ślubował wówczas, ufundowanie katedry i założenie biskupstwa. Spotykam jednak i inne wyjaśnienie. Potęga i przepych katedry miały stać się orężem w walce z papieżem Innocentym II. Dowodem tego miało być przymierze, które zawarł Roger z antypapieżem Anakletem. I znów polityka buduje legendy... (Mimo życzenia, Król Roger II nie pozostał w katedrze na zawsze. Zmarł zanim została poświęcona, a jego ciało spoczęło w katedrze w Palermo).

Mistycznie w Cefalu

Puste zaułki uliczki z boku katedry prowadzą do wąskiej bramki w murze tuż przy zewnętrznych ścianach absydy – stojących tu od blisko 900 lat. Otwarta brama w murze kusi, żeby zobaczyć co jest dalej. I niespodzianka. Kryje się tam zarosnięty dziki ogród, pełen drzewek cytrynowych. Przy ciasnych i wąskich uliczkach, wielopiętrowych domkach obrosniętych przybudówkami i werandami, gdzie każdy metr powierzchni jest na wagę złota i wykorzystany na knajpki i sklepiki – znajdują się wielka i pusta przestrzeń. Jak rajski i tajemniczy ogród. Na gałęzi starego cytrynowego drzewa kołyszą się wielkie owoce i drewniana huśtawka. Nie jest jednak pusto. Patrzą zdziwione i smutne oczy małych owiec z oklapłymi, długimi uszami. Pobrząkują czasem ich dzwoneczkami u szyi. Widać stąd zewnętrzne ściany absydy, wykonane z różnokolorowych kamieni, tworzących zewnętrzną kompozycję z łuków i szachownic. Na dachu obok kamiennych detali, siedzą nieruchomo – jak rzeźby, wielkie morskie ptaki.

Saracenijskie, kręte i wąskie uliczki Cefalu w części wyłączane są z ruchu. Cisza, czasem jest się zupełnie samemu, słychać jedynie odgłos kroków, a światło dnia odbijają wilgotne, kamienne płyty uliczek. Wiele sklepików i kwatery jest zamkniętych. Czekać na lato i klientów. Tylko chyba podczas tej nieturystycznej pory roku, można zobaczyć zwykłych mieszkańców Cefalu – podczas wypoczynku i przy pracy. Rybaków – latających sieci w komórkach na parterach małych domków, w wąskich uliczkach zbiegających do małego portu przy Piazza Marina. Tu na małej plaży stoją wyciągnięte na brzeg rybackie łodzie, a nad nimi wiszą i tulą się do siebie stare domki z okiennicami, balkonikami i tarasami na dachach. Niedaleko z wiekowych, żelaznych kranów w kształcie lwich głów ciągle leje się słodka woda do kamiennych basenów-kadzi. Podobno jeszcze nie dawno korzystano z tej starej średniowiecznej pralni – lavatio, nazywanej też „U ciumi”. Ciepłe światło żarówek oświetla i podkreśla luki pomieszczenia, które tylko jedna ściana dzieli od zatoki i morskiej wody. Przez otwory w niej wpada co jakiś czas fala, napełniając słoną wodą wykute w

kamieniu balie, a szum fal odbija się echem po sklepieniu. Nie ma tylko praczek, a zimne i czyste wody rzeczki Cefalino (podziemna rzeka) nadal płyną kolejne setki lat do morza. Ciekawe czy aktualne są słowa Vincenzo Auria z 1655 roku z tabliczki przy pralni: „Tędy przepływa Cefalino,/ zdrowsza niż jakokolwiek z rzek,/ czystsza niż srebro, chłodniejsza niż śnieg”.²

Wędrując przez uliczki i zaułki spoglądam w otwartą bramę, która mieści sklep z owocami. Śledzę wzrokiem po kolorowych pysznościach i spoglądam na sprzedawczynię, która jest nie-zwykła. Stara kobieta, z długimi blond włosami, opadającymi na ramiona, stoi w świetle jaskrawo świecącej żarówki. Od razu, myślę o kobietach z Opactwa Thelema sprzed niemal wieku, które miały ponoć szkarłatne lub jasne włosy. Myślę o Aleisterze Crowley’u – brytyjskim mistyku, okultysty i... alpinisty, który założył w Cefalu swoje opactwo w latach 20. XX w. „Mistrz Bestia” wraz z wyznawcami z hasłem „czyli wedle swojej woli” badał podobno wpływ rytuału, medytacji, magii seksualnej, narkotyków na ludzki umysł. Kobieta w bramie stoi wyprostowana i zamysłona. Madonna czy szkarłatna, dawna wyznawczyni mistyka – przechodzi mi przez głowę. Nie znajduję jednak żadnych materialnych śladów opactwa podczas wizyty w Cefalu.



Cefalu – Katedra

Dopiero po powrocie odnajduję dom, stanowiący siedzibę wyznawców sprzed blisko wieku w... ofercie biura nieruchomości – na sprzedaż. Domek, dawne Opactwo Thelemy stoi w ruinie wśród agaw i palm. Na kolejnych zdjęciach w zdewastowanych pokojach widać ślady rytualnych malowideł. Z rozmazanych fresków wyłaniają się dziwaczne twarze i napisy – powstawały ponoć podczas narkotycznych wizji. Nie znajduję jednak informacji, jak wyglądały „Szkarłatne Kobiety”? Jak zakończyły się losy opactwa w Pn. Afryce, dokąd przeniosło się, po tym jak Mussolini wypędził je z Cefalu? Losy opactwa Crowley’ego pozostają dla mnie nierozwiązaną zagadką Cefalu.

Wielka ryba i deja vu

Spod Duomo niedaleko do muzeum Mandralisca. To dawny dom miejscowego arystokraty z XIX w., który pasjonował się kolekcjo-

nowaniem dzieł sztuki. Baron Enrico Piraino di Mandralisca przekazał w testamencie wraz z domem swoją bibliotekę i zbiory mieszkańcom rodzinnego Cefalu. Dziś można oglądać jego kolekcje antycznych pamiątek – ceramiki, masek, starych monet niemal z całej Sycylii, obrazy dawnych mistrzów, meble, a nawet muszle i wypchane zwierzęta. Są jednak dwa szczególne okazy, dla których turyści chętnie zaglądają do domu przy wąskiej uliczce. Pierwszy to „Portret nieznanego mężczyzny” – z 1470 roku, pędzla Antonella da Messina – czołowego, sycylijskiego malarza, wczesnego renesansu. Niewielkich rozmiarów portrecik jest eksponowany w osobnej sali i przedstawia mężczyznę o dziwnym i zagadkowym uśmiechu. Nazywany jest „męską Giocondą”, a powstał blisko pół wieku przed słynnym portretem Mony Lisy – Leonarda da Vinci. Da Messina był pierwszym malarzem, który uchwycił emocje na portrecie. Jest także prekursorem malarstwa olejnego w Italii.



Patrząc na ironiczny uśmiech mężczyzny z XV w. myślę o historii związanej z pochodzeniem obrazu. Baron Mandralisca nabył go bowiem od aptekarza w niedalekim Lipari (Wyspy Liparyjskie). Człowiek ów, wykorzystał portret jako... drzewiczki w swoim kredensie. Kiedy przyglądam się obrazowi, widzę jeszcze chyba ślady odcisniętej ramy tamtego mebla. Można przypuszczać, że aptekarz czy jego spadkobiercy, pewnie z czasem żałowali tej transakcji... Wszak dziś to jedno z najsłynniejszych i bezcennych dzieł renesansowego malarstwa na Sycylii!

Nie znam jednak historii pochodzenia w kolekcji innego portretu, który pewnie nie ma takiego znaczenia dla historii sztuki, natomiast dla mnie jest istotny. Na klatce schodowej wśród zbiorów barona odnajduję portret... naszego króla – Jana Kazimierza. Wiadomo, że wiele podróżywał, jednakże najwięcej zanim został koronowany. Na portrecie jest napis Rex Poloniae. Jak portret trafił na Sycylię, czy był prezentem, wyprzedawanym majątkiem dawnego arystokraty? Dlaczego w końcu nasz król wisi na klatce schodowej, gdy wypchane krety i wiewiórki mają osobną salę?

Dzięki zbiorom barona z Cefalu, przeżywam swoiste deja vu. Przed przyjazdem do miasteczka odwiedzam targ w Palermo – Vucciria. Tam na małym placu stoi kilka stoisk z rybami i owocami morza. Nie ma już tuszy wielkich czerwonych tuńczyków, które poławiane są tu na początku lata. Jesienne „tonno” są mniejsze, choć jednak i tak spore. Na temat tuńczyka, ilości steków i ceny rozmawiają mężczyźni. Wybrane, pokrojone, zważone, zawinięte w gazetę i zapłacone. Ryba trafi na wieczorną kolację, a ja udaję się pociągami na cały dzień do Cefalu. Oglądając zbiory w muzeum dawnego

barona trafiam na krater czyli antyczną wazę. Duże, czarne naczynie, znalezione na wyspie Lipari pochodzące z IV w p. n.e. ozdobione jest terakotowymi wzorami, przedstawiającymi scenę... z dzisiejszego poranka. Mężczyzna kupuje od ulicznego sprzedawcy, krojonego tuńczyka. Jest sprzedawca, klient, rozmowa, wielki nóż i wielka ryba. Jestem pod wrażeniem ciągłości i trwania w tym miejscu. Pomimo przestrzeni blisko 2,5 tys. lat dzielących wydarzenia – sytuacja powtarza się.

Calamari z widokiem na Alicudi

Piazza Marina, plaża i porcik są osłonięte betonowym falochronem i są zupełnie puste. Jedyne kilka łodzi odciągniętych daleko na brzeg, czeka na możliwą do rejsów pogodę. Część domków wisi niemal tuż nad brzegiem morza, w sztormowy dzień do okien dolecieć może morska piana.

Wybieram spacer wzdłuż tufowego, czarnego wybrzeża od Północy osady. Tu też domy wiszą nad skałami i brzegiem. Okienne szczelnie pozamykane, a ścieżka wiję się pomiędzy czarnymi, poszarpanymi głazami poniżej. Co chwilę fala uderzająca o brzeg rozpryskuje się z hukiem. Piana opada na skały i mąci wodę maleńkich wodnych oczek między kamieniami. Momentami na zachodzie pojawia się zza chmur zachodzące słońce. Resztki greckich murów i XVI-wiecznych bastionów na tarasie nad wodą przy Piazza Crispi, nabierają ciepłych, miodowych barw, a płytkie morskie wody zabarwiają się turkusowo.

Śledząc wzrokiem samotny kuter, płynący mimo wietrznej pogody, zauważam na horyzoncie wyspę-stożek. To Alicudi – najmniejsza i najdalsza w archipelagu Wysp Liparyjskich. Co jakiś czas znika, w tumanie mgieł, chmur i deszczu, za chwilę znów jest widoczna, tym razem wraz z „większą siostrą” – Filicudi. Przy dobrej pogodzie widać podobno jeszcze Salinę i Lipari. Zapatrzona w wyspy-zjawy przebiegam przez mostek nad skałami i wodą, gdzie dopada mnie zbłąkana, spieniona fala. Buty i spodnie mam całkowicie mokre do kolan. Nie wiem czy śmiać się czy płakać. Postanawiam podsuszyć nogi w restauracji. Jedyne czynna knajpa przy sennej i pustej ulicy, aż wrze od ilości gości. Zajęte są niemal wszystkie stoliki. Panuje półmrok, rozświetlony lampkami znad stolików. Kelnerzy przeciskają się między klientami – raczej stałych i miejscowych. Wreszcie na samym końcu długiej sali odnajdujęienne światło i dwa stoliki, wciśnięte w niewiele ponad metrowej szerokości wnękę. Cóż za widok! Wnęką wisi nad czarnymi skałami, co chwilę omywana spienionymi falami. Przez okno widzę w oddali Alicudi. Kelner przynosi karafkę białego wina, smażone kalmary oraz spaghetti marinara. Jem, piję, patrzę i myślę – La Vita e Bella!

EWA CICHOCKA

¹ Iwaszkiewicz Jarosław, „Książka o Sycylii”, w: „Podróże”, T. I., Czytelnik, Warszawa 1981.

² Tłum. E. Cichocka.

Zbrodnia, honor, sprawiedliwość – motywy kryminalne w twórczości Natalii Krzyżanowskiej (I)

Druga połowa dziewiętnastego wieku przyniosła na ziemiach polskich intensywny rozwój prasy, zarówno w formie czasopism adresowanych do wybranej grupy społecznej czytelników, jak i gazet codziennych, zawierających aktualne informacje o zakresie międzynarodowym, krajowym oraz lokalnym. Poza wiadomościami politycznymi czy ekonomicznymi, a także wprowadzanymi coraz częściej dodatkami kulturalnymi i literackimi, pojawiały się w nich rubryki odnotowujące ważne lub interesujące w ocenie redakcji wydarzenia o charakterze kryminalnym. Wśród nich znajdowały się notatki o popełnionym przestępstwie, opisy przebiegu procesu sądowego czy wzmianki o wyroku skazującym. Opisywane przestępstwa miały rozmaity charakter. Odnotowywano zuchwałę kradzież dóbr z bogatych domów¹, kradzież sklepowe² oraz klejnotów³ czy przestępstwa finansowe, w tym związane z wprowadzaniem fałszywych środków płatniczych.⁴ Przedstawiano w prasie również procesy sądowe dotyczące zabójstw, które zresztą zazwyczaj niezmiernie interesowały opinię publiczną.⁵ Spopularyzowanie w prasie tej tematyki odpowiadało trwającemu już zainteresowaniu czytelników powieściami tajemnic, wzorowanymi na *Tajemnicach Paryża* Eugène'a Sue⁶, a później powieściami kryminalnymi, często wzbogacanymi o wątki sensacyjne.

Oprócz poczytnych kryminałów i powieści tajemnic, które wprowadziły do literatury szerokie zainteresowanie światem rzeczywistych bandytów, przestępców oraz prostytutek⁷, polskie powieści obyczajowe drugiej połowy dziewiętnastego wieku również zawierają liczne motywy kryminalne. Utwory te często w podtytule określano jako *powieści współczesne*, czyli lokujące akcję w latach współczesnych pisarzowi i przedstawiające bohaterów zbliżonych do ludzi żyjących w prawdopodobnym lub faktycznym świecie⁸. Z tego powodu przestępstwa w nich przedstawiane przypominały te opisywane w prasie codziennej. Dominowały w nich wątki obyczajowe, nieraz o wyraźnym zabarwieniu dydaktycznym, pozwalające przedstawić autorowi własne poglądy na zajmujące go kwestie społeczne, ekonomiczne czy – w granicach wyznaczanych przez cenzurę – narodowe. Motywy związane z przestępczością mogły wówczas wzbogacać przebieg akcji, ułatwiać ocenę poszczególnych bohaterów lub służyć podtrzymaniu zainteresowania czytelnika, który podążając za interesującą fabułą, jednocześnie poznawał przemyslenia i poglądy autora dotyczące zagadnień ze świata

rzeczywistego.

Wyżej wspomniany sposób wykorzystywania tematyki kryminalnej stosowała w swojej twórczości Natalia Krzyżanowska, znana i popularna na przełomie XIX i XX wieku pisarka i publicystka⁹, a przy tym gorąca zwolenniczka i propagatorka kwestii kobiecej, zamieszczająca swe artykuły o tematyce emancypacyjnej przede wszystkim w „Bluszczu” oraz „Tygodniku Mód i Powieści”. Wprowadzane przez nią do utworów wątki i motywy kryminalne zazwyczaj służyły właśnie wzbogaceniu fabuły o elementy sensacyjne. Stanowiły także punkt wyjścia do przedstawienia w powieści czy noweli stanowiska pisarki odnośnie aktualnych kwestii społecznych, jak kwestia kobieca, czy narodowych, w tym dotyczących niepodległości Polski. W powieściach zwykle należały do wątków pobocznych; wówczas najczęściej wynikały z wcześniej opisanego wydarzenia lub, jeśli pojawiały się w sposób nieoczekiwany dla czytelnika, pozwalały w zakończeniu utworu na dokonanie lub potwierdzenie oceny postępowania głównego bohatera oraz jego powieściowego przeciwnika. Inaczej sprawa przedstawiała się w przypadku nowel, gdzie wątek kryminalny mógł organizować całą akcję utworu, umożliwiając konfrontację kilku bohaterów, ich poglądów oraz wyznawanych systemów wartości. We wszystkich utworach jednak tematyka związana z przestępstwami oraz systemem władzy sądowiczej nie znajdowała się na pierwszym planie. Pisarka zwykle ograniczała wątek kryminalny do kilku schematycznych elementów, wśród których znajdowało się samo przestępstwo, a potem rozpoznanie winnego i, w zależności od motywacji świadka, doprowadzenie do uwięzienia przestępcy lub zmuszenie go do zadośćuczynienia za popełnione wykroczenie. W przypadku realizacji schematu, w którym pojawiał się motyw więzienia, nieodłącznym elementem były spotkania uwięzionego ze swoją rodziną lub znajomymi, a także, jak w noweli *W więzach*, z rodziną ofiary. Pisarka zwięźle przedstawiała rozprawę sądową, zwykle skupiając się na wydaniu wyroku oraz reakcji więźnia i osób postronnych znajdujących się na sali. Najczęstszym wyrokiem, jaki pojawiał się w jej utworach, było zesłanie na Syberię, połączone z utratą praw stanu. Skazanemu zwykle dobrowolnie towarzyszyła jego żona, decydując się podzielić jego los w imię miłości i wierności, chociaż z prawnego punktu widzenia utrata praw wiązała się z unieważnieniem małżeństwa, a zatem pozwalała kobiecie ponownie wyjść za mąż.¹⁰

Wspomniana już nowela *W więzach*,

opublikowana po raz pierwszy pod tytułem *W lody Syberii*, stanowi przykład realizacji wyżej omówionego schematu. Wątek kryminalny dominuje w tym utworze, przez co akcja rozgrywa się głównie w więzieniu i na sali sądowej. Już na początku noweli ze słów pierwszoosobowego narratora, adwokata, można się dowiedzieć, że sprawa, którą ma się zająć, dotyczy znanego i bogatego ziemianina, Stanisława Goryckiego, podejrzanego o zabójstwo kuzyna swojej żony. Popełniona zbrodnia wstrząsnęła opinią publiczną, gdyż zabójca był osobą zamożną, znaną i ogólnie szanowaną w mieście. O jego winie trudno było wątpić. Wkrótce po popełnieniu przestępstwa Stanisław sam przyszedł się do morderstwa, nie próbując uniknąć odpowiedzialności ani nie doszukując się okoliczności łagodzących, które mogłyby wpłynąć na ocenę czynu przez sędziego i zmniejszyć wymiar kary.

Krwawy dramat wśród klasy ludzi zamożnych i inteligentnych, oparty nie na chęci zysku, ale na czysto psychicznych czynnikach, budzi zwykle żywsze zajęcie. Tutaj wypadek ten silnie oddziaływał na zebranych, bo zbrodni dopuścił się współobywatel ich, druh i towarzysz, którego znając od lat dziecięcych, cenił przywykły.¹¹

Wspominając o popełnionej przez Stanisława zbrodni, adwokat szeroko opowiadał o życiu mężczyzny, w tym o jego nieudanym małżeństwie z Izabelą. Relacje Goryckiego z żoną nie układały się pomyślnie już od dnia ślubu. Podczas starań o rękę pięknej i bogatej panny Stanisław nie ukrywał, że zamierza zawrzeć małżeństwo z rozsądkiem i znacząco powiększyć posiadany majątek. Jego intencje oraz motywacja były doskonale znane Izabeli, która zgadzała się na ten związek, wyznając podobne poglądy i również kierując się korzyściami materialnymi, jakie mogła odnieść, wychodząc za Stanisława. Małżeństwo ich miało od początku charakter układu opartego na wzajemnych korzyściach finansowych, a przyszłych małżonków nie łączyła miłość ani nawet relacja przyjaźni czy wzajemnego szacunku. Tworzyli oni przykadną, światową parę, prowadzącą wystawny styl życia, zgodny z zasadami konwenansu. Prywatnie pomiędzy nimi szybko pojawiła się niechęć oraz chłód, gdyż oboje od dnia ślubu zarzucali sobie próżność i egoizm. Izabela oskarżała męża o polowanie na jej posag, a Stanisław wypominał, że wyszła za niego dla pieniędzy, kochając ubogiego kuzyna. Wzajemne pretensje i wymieniane szyderstwa, przy jednoczesnej ambicji i dumie obojga ludzi, uniemożliwiły próby jakiegokolwiek porozumienia pomię-

dzy nimi. Punktem kluczowym, który zawazył na ich dalszych losach, stało się zaproszenie na kilka tygodni przez Izabelę jej biednego kuzyna, Karola, w którym według plotek i pomówień miała być zakochana, kiedy zgadzała się wyjść za Stanisława.

Przepaść też dzieląca ich wzrastała coraz bardziej, aż wywzajemniając się mężowi za szukanie poza domem rozrywek, pani Izabela zaprosiła na parę tygodni, wracającego właśnie z zagranicy, tego samego kuzyna, względem którego, jak utrzymywali ludzie, nie była obojętną niegdyś. Pan Stanisław mógł wprawdzie nie pozwolić jej przyjmować go w swym domu, sądził wszakże, iż zakaz taki, zdradzając pewną drażliwość czy zazdrość, ubliżałby jego powadze. Kuzynek więc przybył w gościnę, wyszedłszy jednak w dwa tygodnie później z gospodarzem na polowanie, nie powrócił więcej. Znalaziono tylko trupa z roztrzaskaną czaszką, Gorycki zaś uwięziony, natychmiast się do winy przyznał.¹²

O popełnionej zbrodni wspomina w noweli narrator, nie podając jednak żadnych szczegółów dotyczących popełnionego przez Stanisława czynu. W dalszej, rozgrywanej się w więzieniu części utworu przestępstwo oraz jego motywy zostały przedstawione przez Goryckiego w długim dialogu prowadzonym z adwokatem. Zdaniem Stanisława morderstwo popełnione na kuzynie Izabeli wynikało ze skomplikowanych relacji, jakie istniały w małżeństwie Goryckich, oraz z gorącej miłości, jaką mąż obdarzał swoją żonę, czego jednak, ze względu na własną dumę i obawę kolejnych szyderstw, nigdy jej nie powiedział. Z jego słów wynikało, że podczas polowania Karol drwił z bogatych ludzi, którzy nawet małżeństwo traktują jako rodzaj transakcji finansowej. Wypomniął też Stanisławowi, że gdyby nie kwestie pieniężne, Izabela poszłaby za głosem serca i wybrała na męża Karola. Wywiązała się kłótnia, którą zakończył dopiero strzał z dubeltówki. Stanisław popełnił więc morderstwo w afekcie, ogarnięty gniewem i zazdrością, w znacznym stopniu sprowokowany przez krewnego. Nie wykorzystywał jednak tego argumentu dla swej obrony, lecz przeciwnie, czuł spoczywający na nim ciężar winy i nie zamierzał uchylać się przed sprawiedliwym wyrokiem.

Co się dalej działo, nie wiem. Za jednym gorącym wyrazem poszedł drugi, wreszcie strzał własnej dubeltówki oprzytomnił mnie dopiero. Karol leżał krwią zbroczony, a ja... ja byłem zbrodniarzem!¹³

W *W więzach* motyw przestępstwa posłużył pisarce do wprowadzenia tematyki, która dominowała w całej jej twórczości, czyli do kwestii kobiecej. Krzyżanowska często krytycznie wypowiadała się na temat małżeństw zawieranych z rozsądku, szczególnie jeśli małżonków nie łączyły żadne inne względy poza korzyściami materialnymi. W noweli przedstawiła więc rodzinną tragedię – z dalszego rozwoju akcji wynika, że Karol był dalszym krewnym nie tylko Izabeli, ale też Stanisława¹⁴, co czyni zbrodnię Goryckiego

jeszcze straszniejszą – która miała swe podstawy w związku opartym na niewłaściwych podstawach. O skali wzajemnych nieporozumień między małżonkami świadczyło też wyznanie Izabeli podczas rozmowy z adwokatem, że ona od dawna kochała Stanisława, lecz przed pojednaniem z nim powstrzymywała ją własna duma oraz obawa przed odtrąceniem. Jej wyznanie stanowiło pretekst do wprowadzenia do noweli tematyki związanej z naturalnym posłannictwem kobiety, jej doskonałością charakteru oraz wyższością moralną nad mężczyzną¹⁵, a także do umiejętności przebaczenia i pojednania w imię ważniejszych wartości, w tym ratowania mężczyzny przed moralnym upadkiem oraz ocalenia jedności rodziny.¹⁶ Adwokat zarzucał Izabeli, że ta, powodowana egoistyczną dumą, sprzeniewierzyła się kobiecemu posłannictwu. Dostrzegając słabości i wady charakteru męża, powinna była zrezygnować z własnego uporu i poprzez dobroczynne oddziaływanie na Stanisława, rozbudzić w nim szlachetniejsze pierwiastki charakteru, co pozostawało w zgodzie z przekonaniem o uszlachetniającym wpływie kobiety na mężczyznę.¹⁷ Upór Izabeli oraz niezgodne z kobiecą naturą postępowanie w konsekwencji doprowadziło do zbrodni, która kosztowała życie jednego człowieka, a drugiego skazywała na przewidywaną kodeksem karnym karę zesłania. W ten sposób w ocenie adwokata Izabela stawała się moralnym współnikiem przestępstwa popełnionego przez Stanisława.

– Czy sądzisz pani, że Bóg, składając w drobne wasze ręce los i duszę mężczyzny, żadnych na was nie kładzie obowiązków, że wystarczy tu dzielić biernie życie męża i jego stanowisko? Stanisław był porywczym i gonił za majątkiem, od żony jednak zależało stłumić te złe instynkty, wydobywając na jaw z bogatej jego natury szlachetne w zamian pierwiastki. Nie uczyniłaś pani tego, wolałaś dla zle zrozumianej miłości własnej, dwa od razu poświęcić istnienia, wolałaś jednego skazać na śmierć, drugiego na wieczne wygnanie.¹⁸

Pomimo prób obrony Stanisław został skazany na zesłanie na Syberię i pozbawiony praw stanu. Na wyroku zaważył fakt, że Gorycki nie w pełni współpracował z adwokatem sugerującym, żeby jako okoliczności łagodzące przedstawić relacje łączące Stanisława i Izabelę, co wymagałoby od kobiety złożenia zeznań. Na to Gorycki nie chciał się zgodzić, nie zamierzał bowiem szczegółowo przedstawiać w sądzie relacji łączących go z żoną. Pragnął ją zarazem uchronić przed koniecznością wystąpienia w charakterze świadka i opisywania ich sytuacji małżeńskiej wobec obcych ludzi, co Izabela mogłaby odebrać jako kolejne upokorzenie ze strony męża.¹⁹ Gorycka była obecna w sądzie dopiero podczas odczytania wyroku. Wówczas też zdecydowała się na pierwszą prawdziwie szczerą rozmowę z mężem. W celi więziennej wyznała mu swoje uczucia i zapowiedziała, że dobrowolnie zamierza udać się z nim na zesłanie, powołując się na miłość do męża oraz

złożoną przysięgę małżeńską. Jednocześnie przyjmowała na siebie część winy za popełnioną przez Goryckiego zbrodnię, przyznając, że wynikała ona w dużym stopniu z nieporozumień istniejących między nimi, których tylko duma i upór nie pozwalały wcześniej przezwyciężyć. Zgodnie z jej słowami zesłanie na Syberię miało stanowić karę za przestępstwo oraz szansę na rozpoczęcie nowego życia i próbę, choć niezwykle ciężką, wzajemnej miłości. Nie traciła też nadziei, że być może kiedyś wrócą jeszcze razem z zesłania. Jej decyzja wpisywała się więc w propagowany przez Krzyżanowską wizerunek kobiety – kapłanki ogniska domowego, troszczącej się o jedność rodziny i świadomej nierozzerwalności małżeństwa.²⁰ Trudno jednak jednoznacznie ocenić, czy wzajemna miłość małżonków oraz ujawniająca się w decydującej rozmowie egzaltacja wystarczą do przetrwania trudów zesłania oraz powrotu do ojczyzny.

Czy wrócą jednak? Promień miłości, który potrafił zatrzeć pamięć zbrodni mimowolnej i nawet osłodzić wygnanie, może zdoła również dodać im sił do przetrwania tej strasznej próby życiowej, może ukazując wśród lodów Syberii miraż błękitnego nieba Polski, otuchą i nadzieją podtrzyma serca skazańców.²¹

cdn.

¹ Por. S. Milewski, *Intymne życie niegdysiejszej Warszawy*, Warszawa 2008, s. 207-210.

² Por. *ibidem*, s. 211-212.

³ Por. *ibidem*, s. 211.

⁴ Por. *ibidem*, s. 222-225.

⁵ Szczególne zainteresowanie wśród opinii publicznej budziły sprawy, w których oskarżonymi byli ludzie o arystokratycznym pochodzeniu. Por. *idem*, *Niezwykli klienci Temidy*, Warszawa 2011, s. 151.

⁶ Por. A. Gemra, „Kwiaty zła” na miejskim bruku. O powieści zeszytowej XIX i XX wieku, Wrocław 2009, s. 79.

⁷ Por. *ibidem*.

⁸ Por. M. Głowiński, A. Okopień-Sławińska, J. Sławiński, *Zarys teorii literatury*, wyd. 2 zm., Warszawa 1967, s. 325.

⁹ Por. nekrolog Natalii Korwin-Szymanowskiej, *Z żalobnej karty*, „Gazeta Poranna” 1922, nr 283, s. 2-3.

¹⁰ Żony często decydowały się dobrowolnie towarzyszyć mężom podczas zesłania, szczególnie jeśli odbywali na karę za działalność o charakterze narodowym. Jeżeli zaś pozostawały w kraju, niejednokrotnie decydowały się samodzielnie prowadzić gospodarstwo i wychowywać dzieci, przekazując im wiedzę o polskiej historii i tradycji. Por. M. Stawiak-Ososińska, *Ponętna, uległa, akuratna... Ideal i wizerunek kobiety pierwszej połowy XIX wieku (w świetle ówczesnych poradników)*, Kraków 2009, s. 104.

¹¹ A. Krzyżanowski [N. Krzyżanowska], *W więzach*, [w:] *eadem*, *W więzach*, Warszawa 1897, s. 6.

¹² *Ibidem*, s. 11.

¹³ *Ibidem*, s. 20.

¹⁴ Zob. *ibidem*, s. 24.

¹⁵ Por. K. Utrio, *Córki Ewy. Historia kobiety europejskiej*, tłum. M. Gąsiorowska, Warszawa 1998, s. 224.

¹⁶ Por. M. Stawiak-Ososińska, *op. cit.*, s. 223-225.

¹⁷ Por. K. Utrio, *op. cit.*, s. 224.

¹⁸ A. Krzyżanowski [N. Krzyżanowska], *W więzach*, s. 31-32.

¹⁹ Zob. *ibidem*, s. 21.

²⁰ Por. R. Bednarz-Grzybek, *Emancypantka i patriotka. Wizerunek kobiety polskiej przełomu XIX i XX wieku w czasopiśmie Królestwa Polskiego*, Lublin 2010, s. 59-60.

²¹ A. Krzyżanowski [N. Krzyżanowska], *W więzach*, s. 38.



Zamyślenia



Być Polakiem

„Wiem, że nie ucisk
i chciwe podboje,
lecz wolność ludów
szła pod Twoim znakiem.
Że nie ma dziejów
piękniejszych niż Twoje
i większej chwały,
niżli być Polakiem”.

Jan Lechoń o Polsce

Czy chcesz, abym płacił ciągle moją ludzką krwią, a ty nie dasz łez nigdy? Tak wołał w rozpacz Blaise Pascal. Być Polakiem... Są ludzie, obywatele naszego państwa, którzy przeżywają ów stan w sposób naturalny, tak jak się oddycha, dla innych stanowi to wysiłek i móżól, zwłaszcza może tu i teraz w tym trudzie istnienia, kształtowania swojej tożsamości w płynnym i po prostu czasami dziłkim żywiole czasu. Nie będę przypominał, czym polskość jest dla jednego z naszych polityków. Tacy na wysokim urzędzie bywają mężni wobec bytu i nie zależy im, kim są, kogo reprezentują. Dla takich polskość rzeczywistości może być kłopotem, ciężarem i trudem. Także... nienormalnością. Wstyd! Tłuste, brudne światło rozlane na czystej wodzie. I jest w tym coś złowieszczonego. Sromotny stan kultury politycznej. Opisanie tego stanu, wszystkich wykopanych jam i przepaści, przechodzi moje możliwości jako pisarza i poety.

Oto nasi politycy są zdania, iż im bliżej dna, tym prędzej podbijają się znów w górę. Potrzeba wiele dzielności, aby przełamać w sobie poczucie bezsensu przeciwdziałania ich zakusom. Ta trucizna rozplywa się i ogarnia już wszystkie dziedziny społecznego życia. Dotyczy to także dziedziny kultury. Szerokie pojęcie... kultura, sprawia dziś wrażenie starego, zarosniętego i zachwaszczonego ogrodu. Piszemy często o tym na łamach naszego pisma. Każda nowa władza przekonywała nas, że posiada w sobie możliwości ideologicznej reinkarnacji problemu polskiej kultury i tego rodzaju zapewnienia zawsze wzbudzały w nas mierne zaufanie do ich techniki ideologicznej po tego rodzaju zapowiedziach, wszystko nadal stawało się zamknięte i nieprzeniknione. A zatem być Polakiem w tym kraju absurdów, być intelek-

tualistą i naukowcem, to czuwać z daleka. Obok czujności należy zachować zdolność do odczuwania potrzeby walki z tym, co utrudnia działanie ducha, byśmy nie znaleźli się w kompletnej pustce. Wielu twórców dziś przeżywa problem jakby wygnania. Wygnania z ojczyzny, buntu, żalu, goryczy, z prawa do krytyki i wreszcie z wiary. Anaksymander... wygnanie. To musi niepokoić.

I niepokoi. Tak, jak odrzucenie przez Sejm RP uchwały Senatu RP odnośnie ustanowienia roku 2013 Rokiem Powstania Styczniowego w związku ze 150. rocznicą tego narodowego zrywu. Bezdomność naszej historii, bezdomność pamięci. To nie jest jeden akt, to już proces. Historia Polski, bycie Polakiem męczy już wielu naszych rodaków. Rodaków? Umysł ludzki jest tak stworzony, że może rozumieć narzucane nam doktryny liberalnych podrzutków, nie uznając ich. Nie na zasadzie głuchoty, lecz przeciwnie – drążąc ich sens z przeświadczeniem, iż historia naszego narodu trwa i że nic w niej nie przemija zapomniane lub odrzucone. Jak mówił poeta... „Że nie me dziejów piękniejszych niż Twoje i większej chwały, niżli być Polakiem...”

Kazimierz Iwosse



Poeta znad Luciąży Jerzy Włodzimierz Misztela (1946-2013)

W minionym roku, kiedy był już ciężko chory, ale czasem do mnie zaglądał, po raz kolejny podjął się wyświadczyć mi przyjacielską przysługę. Otóż jeszcze latem napisałem cykl wierszy pt. „Legion serdeczny”, poświęcony imiennie ok. stu ludziom dobrym, życzliwym, jakich miałem szczęście w życiu spotkać. Lecz w mojej sytuacji zdrowotnej myśl o edycji książki to niemal utopia. A Jurek – co zdążył niejedną raz udowodnić – sprawnie i dokładnie potrafił robić skład komputerowy, po czym „przerzucił” zapis z komputera na płytę, którą składało się do drukarni. I tak, dość szybko, ukazał się wspomniany tomik.

Dopóki mógł, zjawiał się w ciągu paru ostatnich lat wielokrotnie, prezentując mi kolejne fragmenty swej powieści, Mówił przy tym, jakby nieco zażenowany, że właśnie ma okazijną godzinę, bo potem jedzie odebrać małą wnuczkę ze szkoły. Czytałem te fragmenty i po kilku powiedziałem: – Jurek, to trzeba koniecznie wydać, najlepiej w jakimś solidnym wydawnictwie. Walcząc z „tulipaniem” (rakiem) pisał dalej, zdołał też nawiązać kontakt – i to z sukcesem! – ze znanym wy-

dawnictwem, Ludową Spółdzielnią Wydawniczą w Warszawie, które jego barwną i soczystą powieść „Księżyc nad Luciążą” oddało do rąk czytelników w 2012 roku.

Rozradowany, choć przecie nie był to debiut, bo był już autorem kilku książek, głównie poetyckich – przywiózł mi egzemplarz tej powieści z wpisaną odręcznie dedykacją: „Przyjacielowi po piórze Rafałowi Orlewskiemu na pamiątkę wspólnych wędrówek po stromych ścieżkach literackich... maj 2012”. Strome miał ścieżki nie tylko literackie. W „Legionie”, w wierszu poświęconym Jurkowi starałem się ująć to syntetycznie: „Z nadluciążartskiej zszedł doliny / sztygar, prozaik i poeta / – różne go wiodły koleiny...”

Urodził się 22 sierpnia w Starej Wsi nad Luciążą – rzeką, o której potem tak urzekająco pisał. Po edycji ww. powieści zaczął pisać następną, z akcją także umieszczoną w swej małej ojczyźnie i okolicach. Miał tę rzecz sporo już zaawansowaną, około 150 stron. Nie zdołał jej dokończyć – choroba wściekle finiszowała...

Z wykształcenia był budowlańcem. Przed laty podjął pracę w bełchatowskiej kopalni węgla brunatnego, na stresującym i odpowiedzialnym stanowisku sztygara zmianowego. Wcześniej poślubił Krystynę, z którą wychował dwoje dziś już dorosłych dzieci. Mieszkał z rodziną w Piotrkowie, potem blisko tego miasta – w Woli Bykowskiej. W pracy zawodowej, jak i w twórczości był solidny i precyzyjny. Z jego fachowym zdaniem liczyli się zarówno podlegli mu górnicy, jak i zwierzchnicy kopalni, a nawet (jak to się zdarzyło,) nie dał się wyprowadzić w pole urzędnikom ministerstwa, gdzie załatwiał sprawy swego zakładu pracy.

Lecz Jego męska, zdecydowana i niekiedy bezpardonowa postawa, także we wzburzonym czasie na początku lat osiemdziesiątych – kontrastowała z jego wrażliwością, wielkim sercem, uczciwością i szlachetnym poczuciem sprawiedliwości. „W myśli czy w dłoni ceni detal”: nie tylko szczegół, ale zwłaszcza jego jakość. We wszystkim, co robił, obca mu była jakakolwiek fuszerka. Przy tym był zawsze gotowy, gdy trzeba było komuś pomóc. Wiele osób mogłoby dać tego przykłady, sam wyliczyłbym ich немало, choć zapewne najwięcej miałyby tu do powiedzenia Jego rodzina: był dla niej ostoją – znakomitym mężem, ojcem i dziadkiem, ukochanym autorytetem.

Nie mówił, kiedy zaczął pisać. Pierwsze laury literackie zdobył w organizowanym przez Piotrków od 1965 roku konkursie ogólnopolskim „O Rubinową Hortensję” (1985). Wtedy też debiutował drukiem nagrodzonych utworów w pokłosiu tej edycji konkursu. Potem był laureatem wielu krajowych konkursów literackich na wiersze i opowiadania. Pierwszy własny zbiorek wierszy „Krawędź” wydał w redagowanej przeze mnie serii „Piotrkowskie Zeszyty Poetyckie”

(Dokończenie na stronie 24)

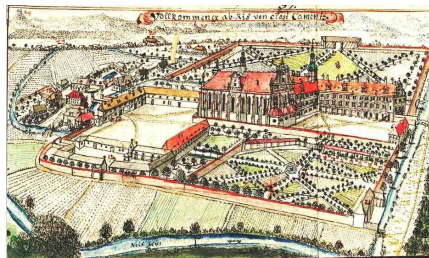
DARIUSZ PAWLICKI

O delectowaniu się podróżą, a potem byciem u celu

Było listopadowe, późne popołudnie, kiedy jechałem pociągiem na południe. Wyruszyłem z Wrocławia. Ale, raz po raz, powracała do mnie myśl, że ta podróż wkrótce dobiegnie końca. A konkretnie – w Strzelinie (stosunkowo często bowiem do tego miasta przyjeżdżałem). Lecz kiedy pociąg ruszył w dalszą drogę z tej stacji, nie miałem już żadnych wątpliwości co do tego, że ta podróż, na szczęście, jeszcze potrwa.

Patrzyłem przez okno na mijany świat. Czyniłem to z przyjemnością, gdyż równocześnie czułem narastającą radość na myśl o tym, co będzie się działo w moim życiu przez najbliższe trzy dni. Delectowałem się wręcz czasem, który dzielił mnie od początku przeżywania owej przyjemności. Ale równocześnie przyglądałem się uważnie kopulastym, porośniętym lasem Wzgórzom Strzeleńskim, które rozciągały się po lewej stronie. Późnopołudniowe, do tego jesienne słońce coraz słabiej je oświetlało. A tak się składa, że lubię owe Wzniesienia. Jak również tę porę dnia, dla mnie szczególną, którą nazywam przedzmiernchem.

Za Ziębicami Wzgórza Strzeleńskie straciłem z oczu. Za to przed sobą widziałem pasmo niewysokich Gór Bardzkich. Rozpościerające się nad nim niebo zdobiły szerokie, czerwone smugi. Niedługo potem moją uwagę przykuły szczególnie cztery narożne wieże zamku, jak też budynek dawnego klasztoru cystersów w Kamieńcu Ząbkowickim. Z tym, że za sprawą zapadającego z wolna zmierzchu, obie budowle nie były już dobrze widoczne.



Friedrich Bernard Wernher,
Klasztor w Kamieńcu Ząbkowickim.

Piętnaście minut później wysiadłem na dworcu Kłodzko Główne. Mogłem uczynić to na stacji następnej – usytuowanej prawie w centrum Kłodzka. Rzecz jednak w tym, że chciałem przejść ten odcinek. Po to, aby spojrzeć w wartki nurt Nysy Kłodzkiej, jak też na imponującą twierdzę górującą nad miastem. A wszystko to w sumie dlatego, że w 2003 r., także w listopadzie, i o tej samej porze dnia, przemie-

rzyłem tę właśnie trasę. Końcówka owego roku była ważna, poprzedzała bowiem istotne wydarzenia w moim życiu, które miało nastąpić na początku roku następnego (i nastąpiło). Nie wyczekiwałem go jednak w ogóle. Chciałem jedynie je odwlec. I spacer wówczas, 9 lat temu, był takim właśnie odwlekaniem.

Było już zupełnie ciemno, kiedy wysiadłem z autobusu w Polanicy Zdroju. To uroczec miasteczko było bowiem moim celem. A konkretnie pewien znajdujący się w nim budynek...

Hotel o nazwie „Bukowy Park” od pierwszej chwili zrobił na mnie bardzo korzystne wrażenie. A to przede wszystkim za sprawą litego drewna (właśnie bukowego), jakiego w dużej ilości użyto do wykończenia wnętrza. Do tego pokryto je brązową bejcą. Pozytywne wrażenie pogłębiało się jeszcze, w miarę jak coraz dłużej przebywałem w owym hotelu. Ale najważniejsi byli ludzie, jacy 15 listopada 2012 r. spotkali się w „Bukowym Parku”. I przebywali w nim do południa 18 listopada.

W eseju *O rozmowach pisarzy I*, tak przeze mnie ceniony William Hazlitt poczynił następującą uwagę:

„Duszą rozmowy jest sympatia”. A tak się składa, że w „Bukowym Parku”, we wspomnianych dniach listopadowych, było bardzo dużo rozmów i tyle samo sympatii. Tak więc z Hazlittowskim stwierdzeniem można tylko się zgodzić. Mając zaś na uwadze osiem wcześniejszych spotkań polanickich (powróć jeszcze do nich), jak i to ostatnie, należy stwierdzić, że owe rozmowy stanowią jeden z najważniejszych elementów składających się na kolejne edycje zdarzenia o nazwie: Festiwal Poezji „Poeci bez Granic”. Pierwsza edycja miała miejsce w 2003 r.*, a ostatnia, jak dotąd – w 2012 r. Przyszłoroczna będzie o tyle ważna, że będzie dziesiąta. Zaś istnienie na polskiej mapie kulturalnej jakiegoś zdarzenia przez tyle lat, jak najbardziej zasługuje na uwagę, jak też gratulacje! A komu konkretnie należy gratulować? Andrzejowi Bartyńskiemu, pomysłodawcy i nieformalnemu dyrektorowi Festiwalu Polanickiego, jego małżonce Krystynie Bartyńskiej, nieformalnej dyrektorce administracyjnej tegoż Festiwalu, jak również przedstawicielom władz Polanicy Zdroju, na czele z burmistrzem Jerzym Terleckim.

Wspólnota zainteresowań, w tym wypadku szczególnie widoczna, jest bardzo istotnym elementem łączącym grono ludzi, którzy do Polanicy Zdroju, od 2003 r. zjeżdżają się w konkretnym celu. Przybywają przy tym nie tylko z rozmaitych zakątków Polski, ale i z

zagranicy (udział poetów zagranicznych, jak też ociemniałych bądź niewidomych, jest zresztą jednym z założeń, które złożyły się na inicjatywę, o której piszę).

Nie ukrywam, że nie zaprzatanie sobie głowy kwestiami dotyczącymi wiktury, opierunku i kwaterunku, oderwanie się przez to, choćby na 3 dni, od prozy życia, jest bardzo ważne. Stanowi kolejny pozytywny element tego, jak i pewnie innych festiwali (nie ma co się czarować, że tak nie jest!).



Foto: Autor

Listopadowe modrzewie w Parku Zdrojowym.

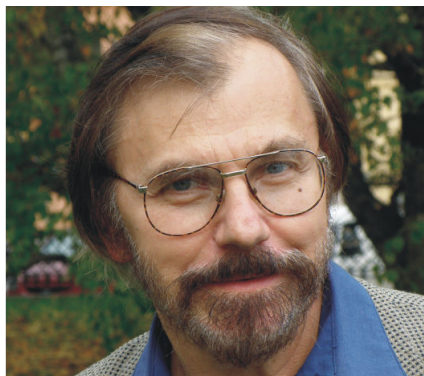
Żółtość igliwia modrzewi licznie rosnących w Parku Zdrojowym, jak też błękit nieba rozpościerającego się nad nimi, sprawiały, że myśli były pogodne (nie tylko moje). Towarzyszyły im marzenia, jak też nadzieje na ich spełnienie. Choć, gdy nadszedł 18 listopada, myślę, że wszystkim było żal, że spotkanie w Polanicy Zdroju dobiegło końca (zresztą wielu ów żal wyraziło werbalnie jeszcze przed opuszczeniem „Bukowego Parku”). Tym bardziej, iż na kolejne trzeba czekać aż 12 miesięcy.

Jako zakończeniem niniejszego szkicu posłużę się cytatem z Tomasza Stepnowskiego: „(...) to nie rzeczy eksponowane w muzeach są ważne, tylko praca umysłu i ducha zbiorowości ludzkiej na konkretnym obszarze”**.

* II Festiwal Poezji „Poeci bez Granic” nie odbył się w 2004 r., ale w roku następnym.

** Tomasz Stepnowski, *Esej europejski*, „Wiadomości Literackie” 2012, nr 1.

Listy do Pani A. (56)



Teraz i wtedy

Droga Pani!

Możemy na wszystko patrzeć bardziej optymistycznie, bo dzień już znacznie dłuższy, idzie wiosna, robi się coraz cieplej. Łatwiej więc popadać nawet w euforyczne iluzje, bo jednak w naszych czasach jest sporo iluzji. Dla mnie zaczął się ten rok publikacjami. Sporo wierszy i recenzję wydrukował „Kwartalnik Świętokrzyski”, kolumnę wierszy „Tygiel”, a w jednym z pism bułgarskich przekłady moich utworów. W „Akancie” Kalina Izabela Ziola opublikowała bardzo przychylną recenzję ze „Studni Andersena”. Świetnie zanalizowała „Studnie...” Agnieszka Nęcka w „Nowych Książkach”. Gdyby to wszystko nastąpiło ponad trzydzieści lat temu, i w takim zmasowaniu, to zwróciłoby uwagę na autora, zaczęłyby się inne teksty, ataki, pochwały, autor by wiedział, że istnieje. A dziś? Kogo to obchodzi? Najwyżej ktoś gdzieś napisze paszkwil, którego także nikt nie przeczyta. Bo kogo obchodzi literatura, gdzie podziły się merytoryczne spory niemające nic wspólnego z inwektywami rzucanymi przez dzisiejszych półgłówków. Pani tamtych czasów nie pamięta, a ja zapewne je idealizuję, jak to się zdarza starszym. I tak sam tworzę iluzje. Ale jednak pamiętam epokę Sandauerów, Rogozińskich, Burków, Irzyków i wielu, wielu innych towarzyszących literaturze znaczących eseistów i publicystów. To dopiero były miarodajne oceny!

Szukałem numeru „Nowych Książek” w Empiku. Ponieważ nie mogłem go dostrzec na półce, podszedłem do paniąki siedzącej w informacji. Spytałem: „Czy są jeszcze Nowe Książki”? Na to paniąka: „A konkretnie o jakie panu chodzi?”. To samo było w księgarni – o jakie konkretnie... Nie przyszło do tej kuli pokrytej włosami, że istnieje taki miesięcznik. Nie dziwiłbym się, gdyby to było w jakimś przypadkowym stoisku w spożywczym sklepie, ale tam? Już pisałem Pani, że innym razem na moje pytanie o „Odrę” usłyszałem: „pism żeglarskich nie prowadzimy”. To wszystko zamiast mnie dziwić albo irytować – już tylko śmiesz.

Bawią mnie awantury sejmowe, piski chomowatych bab na temat związków partnerskich. Ja tam nie miałbym nic przeciwko jeszcze bardziej rozbudowanemu związkowi. Trio partnerskie, kwartet partnerski... To jest to! O ile tylko instrumenty wytrzymają... Pisałem Pani, że czytałem książkę o Ordonce i przedwojennym Qui pro quo. W tej chwili mamy sejmowy kabaret „Kwik

prukwy”. Nie śledzę tego systematycznie, ale rzeczywiście niektóre jego gwiazdy są niewypowiedzianie komiczne. Jednak tematy zastępcze są niezastąpione. Czy w ogóle nasi politycy nie są zastępczy? Im się wydaje, że są niezastąpieni.

Istnieją jednak ludzie niezastąpieni. Należała do nich zmarła niedawno Alicja Szygendowska, pani prezes Fundacji Domu Literatury. Podkreślano ten fakt na spotkaniu poświęconym Jej pamięci, i nie było w tym czczej retoryki. To Ona była dobrym duchem Domu, potrafiła wiele załatwić, wiele ochronić, ocalić, przeciwdziałać głupocie urzędników, a także niewczesnym pomysłom skłóconych, lekceważących realia samych pisarzy.

Byłem na tym spotkaniu, a potem na kameralnym przyjęciu – już takiej niemal prywatnej stypie. Cała uroczystość była obmyślana przez samą „Zainteresowaną”. Chciała bowiem, aby po Jej śmierci ludzie spotkali się nie w nastrojach żalobnych i pośepnych, ale radosnych. Zostawiła szczegółowe dyspozycje. W trakcie oficjalnej części wiersze Galczyńskiego w sposób kongenialny odczytał Krzysztof Gosztyła. Kilka osób podzieliło się swoimi wspomnieniami. Nie trwało to długo i rzeczywiście nie było jakiegoś łzawo. A potem ta kameralna kolacja. Nigdy nie widziałem tak radosnej, wesołej stypy. Wspomniano Zmarłą, anegdota sypały się jak z rękawa, co chwila było słyhać wybuchy śmiechu. Rysiek Ulicki zaczął grać na gitarze i śpiewać najrozmaitsze, zabawne piosenki... Atmosfera była bardziej z gatunku wesołych. Tak chciała Alicja. Czuliśmy jej obecność wśród nas, mieliśmy wrażenie, że cieszy się z tego spotkania, śmieje się razem z nami. Mówię Pani, coś cudownego! Pomyślałem sobie, że nie warto wpadać w pesymizm, widzieć tylko ciemne strony rzeczywistości. A więc jeśli politycy, zamiast mnie wpędzać w łękę i depresję śmiesz – to dobry znak. Narzekanie do niczego nie doprowadzi, śmiech jest natomiast najlepszą terapią.

Czytałem w „Miesięczniku” wywiad z Leszkiem Żulińskim, który przeprowadziła Beata Patrycja Klary. Ta lektura wprawiła mnie z kolei w nastrój nostalgiczny. Drużynowy opowiada starodawne dzieje... Te dzieje, które i ja pamiętam. Ile tu nazwisk, sytuacji... Pojawiają się ludzie, których już nie ma: Andrzej Waśkiewicz, Maciej Krassowski, Krzysztof Teodor Toeplitz, Tadeusz Urgacz, Piotr Kuncewicz, Krzysztof Mętrak... Mógłbym przepisać większość nazwisk, które Leszek przywołuje. Przed oczami pojawiają się tamte redakcje: „Kultura”, „Literatura”, „Miesięcznik literacki”, „Nowy Wyrz”, „Tu i Teraz”, „Wiadomości Kulturalne”... Pamiętam, jak Leszek zamówił u mnie recenzję z tomiku autora, którego sobie wybiorę. Tygodnik „Tu i Teraz” był w kręgach opozycyjnych źle widziany. Nie zważałem na to, ale też nie za bardzo chciałem być z tym tytułem trwale kojarzony. Wybrałem więc poetę opozycyjnego, który z kolei nie był dobrze widziany w kręgach oficjalnych. Był nim Jerzy Ficowski. I co? Recenzja z tomu Ficowskiego ukazała się bez najmniejszego problemu. Czy dziś taka sytuacja byłaby możliwa?

W czasach potransformacyjnych „Wiadomości Kulturalne” zostały zlikwidowane przez niesławnej pamięci minister dwojga nazwisk chyba... Wolę je zapamiętać, bo nie chcę pamiętać czegoś takiego.

Pracowałem wtedy w „Trybunie”. Przepro-

wadzałem wywiad z KTT, napisałem w obronie „Wiadomości” kilka tekstów publicystycznych. Żał mi było jednego pisma ogólnopolskiego, w którym sam drukowałem wiersze i recenzje. Od tamtego czasu datawała się moja bardziej zażyła znajomość z Toeplitzem.

Wiele zdarzeń, chwil, klimatów przywoływanych przez Leszka Żulińskiego znam, uczestniczyłem w nich. Leszek wymienia mnie wśród osób, z którymi szczególnie blisko się przyjaźnił. Szkoda, że powiedział to w czasie przeszłym, bo – przy najmniej w moim pojęciu – ta przyjaźń trwa do teraz.

Wtedy istniało życie literackie dużo bardziej autentyczne, niż dzisiaj. Owszem, ludzie klócili się, ale w tych klótniach było więcej sensu, o coś chodziło, istniał jakiś bardziej merytoryczny spór. Teraz klótnie mają podłoże raczej ideologiczne, poza tym literaturę zalewa różnego autoramentu grafomania, napędzana dodatkowo przez kilku krytyków, którzy wypisują za pieniądze idiotyczne laudacje autorom, których utwory niegdyś zapęniałyby kosze redakcyjne. Podczas lektury tego wywiadu łażą się w oku kręci. Tamte czasy naszej wczesnej młodości już nie wrócą. Żał kolegów, którzy bezpowrotnie odeszli, co jednocześnie nam samym wciąż przypomina o naszej nietrwałości.

Dałem wyraz swoim nastrojom, ale przecież i dzisiaj istnieje jakaś nisza. Na spotkanie z poetką Sylwią Gibaszek, które prowadziłem, przyszło ponad dwadzieścia osób, co należy raczej do rzadkości. Przyszła Adriana Szymańska, Krystyna Rodowska... Dobre wiersze, świetna publiczność rozmawiająca o poezji ze zrozumieniem, z interpretacyjną pasją; po prostu ze znajomością rzeczy.

Ogół jednak bardziej ekscytuje polityka, ploty, abdykacja papieża, asteroidy – czyli tematy zastępcze. Żeby jeszcze gospodarka, która jest także prowadzona idiotycznie i w sposób niemal sabotażowy. Ale przecież i tak na nic nie mamy większego wpływu. A kultura zupełnie temu „ogółowi” jest obca i niepotrzebna. Na szczęście jest jeszcze tych przeszło dwadzieścia osób ze spotkania z Sylwią Gibaszek. I Pani także. Razem jest nas więcej. Przeczucowałem Jej obecność w tej oryginalnej i – jak to się teraz określa – klimatycznej kawiarni BibelotyCafe. Kawiarnia jest tak nastrojowa, że obok poetów zaczynają namierzać ją grafomani. Ale ja potrafię dać im odpór.

Narzekamy na grafomanów, ale z drugiej strony to są ludzie, którzy uważają literaturę za ważną. Nic to, że na ogół tylko własną. Mają jednak jakąś pasję twórczą, nie są wyłącznie zjadaczami kolorowej prasy, których w społeczeństwie mamy nadmiar.

I znowu kończę ten list niejakim narzekaniem, a zaczął się tak optymistycznie. Czy jednak życie monotonne, mające wyłącznie przejawy pozytywne albo tylko negatywne, byłoby ciekawe? Ono jest, jakie jest. I my jesteśmy tacy, jacy jesteśmy.

Serdecznie Panią pozdrawiam, wiosennie i ciepło –

STEFAN JURKOWSKI



Rozmyślania



Wspomnienie o Heniu Cyganiku

Takie to czasy nastąpiły, że coraz mniej ludzi interesuje się kulturą i sztuką. W pogoni za dobrami materialnymi współczesnego świata zapominamy o drugim człowieku, a słowa miłość, przyjaźń czy bezinteresowność coraz częściej są postrzegane jako coś śmiesznego – a używając języka młodzieżowego – jako rodzaj „obciachu”... Dlatego tak istotnym jest to, aby nie zapominać o ludziach, którzy przez całe swoje życie dawali dowód na to, że te jakże ważne znaczeniowo słowa, mają dzisiaj wielką moc, jakże są potrzebne, jak ich zaczyna brakować... Do nielicznych orędowników tych wielkich i nieprzemijalnych wartości należał Henryk Cyganik, wspinały się bard krakowskiej bohemy artystycznej. Należał, bo odszedł od nas osiem lat temu, 23 lutego...

ANDRZEJ DĘBKOWSKI

Z Heniem poznałem się osiemnaście lat temu... Podczas imprezy literackiej u Andrzeja Grabowskiego w Ciężkowicach – a dokładniej „U Martusiowej”, gdzie mieliśmy posiłki i noclegi. Widocznie wtedy w powietrzu unosiły się szczególnego rodzaju fludy, bo jakoś tak spontanicznie i nieskrępowanie przypadliśmy sobie do gustu, szybko znaleźliśmy wspólny język. Może to dzięki górcom, bo Henio przecież był góralem z urodzenia, a ja – pomimo że tylko ceprem – to jednak jestem wielkim miłośnikiem gór... Poza tym wspólnie kochaliśmy ponad wszystko jedną rzecz – święty spokój. Nie spieszyło nam się do niczego i do nikogo. Małe chwile ciszy dawały nam wiele radości. A gdzież to można było tego doświadczyć, jak nie w górach, z dala od ludzkiego zgłębku, ludzkiej nienawiści i ludzkiej głupoty. Właśnie te przymioty były Heniowi obce. Nienawidził ich, bo nie potrzebował kłamliwego i obłudnego pokłasku.

Henryk Cyganik to była wielka osobowość. Był znany w całym krakowskim środowisku artystycznym: w teatrze, kabarecie, radiu, telewizji, był znany felietonistą i poetą. Ale znany był również w wielu mniejszych środowiskach artystycznych, gdzie

często realizował widowiska plenerowe, reżyserował spektakle wiejskich teatrów... Realizował się więc w nieskończonej ilości działań. Mówił o sobie skromnie – człowiek do wynajęcia, wyrobnik pióra. Właśnie słowo było dla niego największym żywiołem, było jego życiem... Sposobem kontaktowania się ze światem, z drugim człowiekiem.

Za swoją twórczość Henio dostawał liczne nagrody, ale przyjmował je z przymrużeniem oka. Skomentował to kiedyś tak: *Andrzeju, powiem Ci szczerze. Mnie to lata, czy dostanę jakąś nagrodę, czy też jej nie dostanę. Kto będzie o tym pamiętał za pięćdziesiąt czy sto lat. Ważne jest to, żeby za pięćdziesiąt lat miał kto odmówić modlitwę na moim grobie... Albo żeby chociaż ktoś o mnie kiedyś pomyślał...*

Henio nie lubił także rozmawiać o swojej twórczości, wołał konwersacje o pisaniu innych, ale jeśli już udało się od niego wyciągnąć cokolwiek, to robił to niezwykle zajmująco...

Był człowiekiem, dla którego ważniejsza była troska o drugiego człowieka, niż dbanie o własną twórczość. Trzeba było wiele starań, aby zgodził się wreszcie wydać swoje utwory literackie. Coś na ten temat może powiedzieć Andrzej Grabowski, który – odkąd pamiętam – ciągle Heniowi „zawracał głowę”, aby przygotował materiały do książek. I czasem to się udawało. Dzięki temu możemy dzisiaj czytać tę poezję, która jest mieszkanką niepowtarzalnych liryków, powiastek filozoficznych czy niekiedy wręcz wykładów mędrca, który stoi gdzieś z boku i przygląda się całemu światu, i dziwi się wszystkiemu, jakby nie mógł pogodzić się z tym, co tak bardzo dewaluje współczesnego człowieka.

Henio całe swoje bogate życie szukał spokoju, szukał miejsca, gdzie mógłby siebie realizować. Takie miejsce znalazł pod koniec swojego życia. Pisał mi o tym wiele razy w swoich niesamowitych listach. Marzył, planował, cieszył się każdą chwilą daną mu spędzać w gronie kochających go osób. Pamiętam ten jego ogień w oczach, kiedy – spacerując ulicami Zelowa – opowiadał o swojej córce, Kai, młodej, utalentowanej poetce. Cieszył się jej sukcesami... Wreszcie podczas naszych eskapad poetyckich po Pogórze i Podkarpaciu, z takim namaszczeniem opowiadał mi o azylu, który nareszcie dała mu ukochana kobieta...

W swoim ostatnim liście do mnie napisał: *Andrzeju, marzyłem o takim życiu, jakie mam teraz, na koniec mojego ziemskiego życia... Mam wreszcie spokój, mogę pisać ile chcę, no i mam przy sobie dwie, kochane kobiety... Na kolana jednej z nich zmarł...*

Jak ważne były dla niego spokój i niezależność, niech świadczy to, że nawet swoją ostatnią książkę poetycką Henio zatytułował *Święty azyl*. Od ośmiu lat już go na pewno ma... Jest znacznie wyżej niż wtedy, kiedy włączyliśmy po Parchowatce w Beskidzie Sądeckim, kiedy chodziliśmy na Halę Łabowską na naleśniki z bitą śmietaną, a wolnych chwilach – wieczorami – patrzyliśmy w rozgwieżdżone niebo i piliśmy spirytus dobrany miętą... Góry i prawdziwi przyjaciele – jak często powtarzał – były całym jego życiem. Dla nich mógł zrobić wszystko. W wywiadzie, który mi udzielił w 1998 roku, powiedział: (...) *Nigdy nie miałem nabożeństwa do swojej twórczości, a więc właściwie nie interesuje mnie czy się spełniłem, czy dopiero się spełnię. Ważne jest w końcu to, że jestem szczęśliwy z tymi, którzy są ze mną – z krajobrazem, z przyjaciółmi, których mogę na palcach jednej ręki policzyć. Oczywiście, że życie nie jest sielanką. Często bywam wkurzony, wątpiący, mały...*

jednak wystarczy, że poczuję zapach ogniska pod niebem nad moją górą. Mieć swoją górę – to chyba w życiu najważniejsze.

Henryk Cyganik

Hiob

Panie galaktyk drogi mgławicy
co siejesz suszę i urodzaj
nie wiem dlaczego tak Cię bawi
to że wciąż bierzesz mnie za Hioba

pełne rachunków mam szuflady
niezapłacone grzechy słowa
kiedyś kwiatuś dzisiaj badyl
bo Ty wciąż bierzesz mnie za Hioba

dogasam w ciszy beznadziejnej
czas mi zapętał sens na drogach
kornik dojada sęki w więźbie
i Ty wciąż bierzesz mnie za Hioba

rak się przyczepił jak brat łąta
do siostry biedy – mać skarbowa
z taka rodziną tylko płakać
a Ty wciąż bierzesz mnie za Hioba

miłość pobiegła za tym trzecim
na wódkę wściekła się wątroba
świat na mnie warczy pyszczą dzieci
i Ty co bierzesz mnie za Hioba

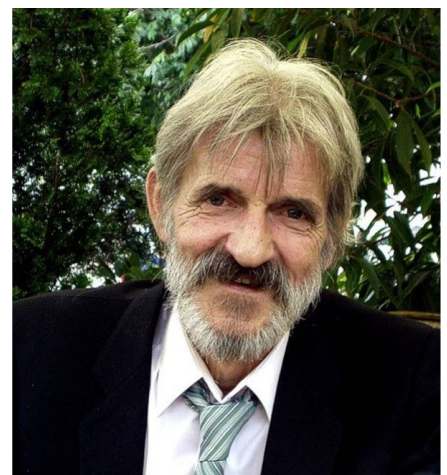
bełkot w poezji w sztuce knoty
naród się zbiesił rząd sfiksował
mrozi głupoty śliski dotyk
i Ty co bierzesz mnie za Hioba

ksiądz już mnie przeklął bank wydukał
a perspektywa – czerni i groza
pies zjadł mi dyplom (z byczka skóra)
bo Ty wciąż bierzesz mnie za Hioba

wiem że poczucie masz humoru
mistrzem groteski bies Cię zowie
lecz ze mnie Panie już nie dworuj
– być nie chcę i nie jestem Hiobem

chcesz mi dołożyć to dokładaj
jeśli już musisz – światłem dowal
niech w saldzie będzie równowaga
– gdy Hiob koniecznie...

to pół Hioba



Henryk Cyganik

JÓZEF BARAN

Przystanek Marzenie (30)

(fragmenty)



Na pierwszy ogień poszły tomiki poetyckie, m.in. moje, Adama Ziemanina, Elżbiety Wojnarowskiej, polskiego Wietnamczyka Lam Ouang My, brytyjskiego poety Roba Bridge'a, a także bibliofilski album wstrząsających fotografii pokazujących likwidację warszawskiego getta. Franek *znalazł* i zakupił te nieznanne fotografie na londyńskim pchlim targu. Specjalnością wydawnictwa mają być „hrabalia”, bo Bielaszewski przez wiele lat był kompanem Hrabala w knajpie „Pod Złotym Tygrysem”; jako pierwszy przetłumaczył w Polsce pełną, oryginalną wersję ocenianą w Czechach powieści *Obsługiwałem angielskiego króla*. Zresztą opublikował też parę lat temu w Wydawnictwie Dolnośląskim pikantną książkę o znajomości z Hrabalem pt. *Tak, panowie, idę umrzeć*. Oryginał, obieżyświat, półpolskiej, półwłoskiej krwi, część życia spędził w Stargardzie Szczecińskim, część w Pradze, część w Paryżu i Londynie; był pod wozem i na wozie, a teraz z Marzeną pracują nad rozkręceniem wydawnictwa.

Powstaje w Londynie środowisko młodych pisarzy i – kto wie – może za jakiś czas zaistnieje tu jedno z prężniejszych środowisk odbiorców sztuki? Taką przynajmniej nadzieję mają młodzi poeci grupujący się pod skrzydłami BrandBook London Publishing, bo młodzi zawsze w każdych czasach karmili się nadzieją, że rzucą świat na kolana. Chcą wydawać dodatek literacki, utrzymywać kontakt z literaturą krajową. Właśnie o młodych, którzy zjechali w ostatnich latach do Londynu, zabiega Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie, chcący zrzucić z siebie balast lat. Przesuwa mu od lat pani Krystyna Bednarczyk, szefowa słynnej ongiś Oficyny Poetów i Pisarzy. Miałem przyjemność ją poznać. Prosta, naturalna, ostra. To lubię! Powiedziałem jej, iż podobało mi się, że gdy emigracja była nastawiona na walkę z komuną, ona z mężem miała odwagę prowadzić apolityczną Oficynę, kierująca się li tylko merytorycznymi kryteriami, czym

oczywiście naraziła się polonijnym salonom. Bednarczykowie nigdy nie ulegli niczyjej presji i mają swoje zasługi dla kultury polskiej.

Przy stole w klubie polskim siedzi także Magda Czajkowska, autorka zbioru listów *Herbert i kochane zwierzątka*, pani Michałowska, żona byłego dyplomaty, oraz – Regina Wasiak-Taylor, sprawczyni spotkania w Związku, jego sekretarz, współautorka książki o Władzie Majewskiej, żywej legendzie, dla której Hemar, poetyckie bożyszcze starej londyńskiej emigracji, napisał prawie 100 tekstów o Lwowie.

Chytrze wkładam kij w mrowisko. Żeby odwrócić od siebie uwagę przesłuchujących mnie pań, wtrącam mimochodem, że Hemar wielkim autorem tekstów piosenekarskich i kabaretowych był, lecz poeta raczej średniawym. To się nie podoba paniom. Wszakże nie przeliczyłem się, czując przez skórę, że pani Bednarczyk wesprze mnie w mej herezji. I tak się też stało. Natychmiast rzuciły się na nią dwie panie, broniące tezy, że Hemar nie tylko kabaretowcem był, lecz także wspaniałym, wielkim poetą. A ja, zgłodniały, mogłem się wreszcie spokojnie zająć pałaszowaniem drugiego dania.

Z grubsza można powiedzieć, że najstarszą emigrację i tę najnowszą, z trzeciego tysiąclecia, dzielą lata świetlne. Starsi ukrawaceni gentlemani i młodzi udzinsowieni barbarzyńcy – tak można by określić jednych i drugich. Młodych – co potwierdza z żalem Regina Taylor – nie obchodzi historia, przeszłość, a co za tym idzie nie interesują także wspominki kombatantów emigracji – obwieszonych medalami za zasługi z II wojny światowej.

Przyjechali tu, żeby jak najszybciej się dorobić, niektórzy studiują, chodzą na kursy, pilnują pracy, rzadko kiedy pojawiają się tu na imprezach kulturalnych, bo mają już inne gusta i potrzeby. Jedynie koncerty w klubie jazzowym cieszą się zainteresowaniem. Poza tym stronią od uroczystości o jakimkolwiek patriotycznym posmaku. Prawdę mówiąc, nie wszyscy przynoszą chlubę Polonii, za niejednych trzeba się wstydzić, gdy ostentacyjnie piją piwo w parku, żebrać o papierosa, wszczynają burdy. „Na szczęście to tylko margines” – uspokaja mnie Grażynka, też poznana na spotkaniu autorskim, która przez dwa popołudnia towarzyszyła nam jako przewodniczka po Londynie. „Podobny margines wpisany jest w każdą emigrację. Zresztą, gdyby na podstawie zapitych Anglików, którzy przylatują do Krakowa czy Gdańska i wszczynają burdy w krakowskich restauracjach i bistrach, oceniać wszystkich Brytyjczyków, to powstałby całkowicie wypaczony obraz”. Grażyna, w odróżnieniu od polonusów, mieszkających w Londynie i mających krytyczny stosunek do najnowszej emigracji, uważa, że młodzi Polacy są w większości na poziomie, znają języki, zakładają z łatwością

firmy, liczą się jako znakomici robotnicy-budowlańcy i za jakiś czas doszłusują do średniej klasy angielskiej i wtopią się bez reszty w Londyn.

Mimo że w podziemnych labiryntach stacji metro i na ulicach kłębią się nieprzebrane tłumy i trwa bezustannie „wędrówka ludów”, nie odczuwam, by Londyn był męczącym miastem. Raczej podbija serce elegancją, czystością, porządkiem architektonicznym i jakąś aurą tajemniczości. Jest jak ogromna inkrustowana zabytkami Księga, otwierająca się bramami Tower, Opactwa Westminster, Pałacu Buckingham, mostami nad Tamizą... Piękny Kraków, grajdołek naprzeciw Londynu, wydaje się na co dzień bardziej zatłoczony autami, choć przecież należy pamiętać, że stolica Anglii liczy prawie 10 milionów mieszkańców i jest wielokrotnie większa. Metro czyni cuda i odciąża ruch uliczny. Żeby móc zajrzeć do wszystkich zakamarków i dzielnic metropolii, rzucić okiem na zabytki, trzeba by tu posiedzieć kilka miesięcy. Wspaniałą sprawą godną naśladowania są angielskie muzea sztuki klasycznej i współczesnej, otwierające podwoje dla każdego i bez biletów wstępu. Grażyna po zaprowadzeniu mnie w okolice Parlamentu i pokazaniu, gdzie król Henryk grał w średniowieczu w tenisa (tak, naprawdę!), przywiodła mnie też pod pałac Buckingham, gdzie oglądałem okna królowej Elżbiety i zmianę warty, a w końcu pozostawiła w Galerii Narodowej, bym mógł do woli sycić oczy Rembrandtem, Tycjanem, Van Goghem... *Ląka* tego ostatniego jest ilustracją obłądnego wnętrza Geniusza.

W drodze do muzeum Grażyna opowiada, że przyjechała do Londynu w 1989. Jest absolwentką anglistyki. Wyszła za mąż za Anglika pochodzącego z arystokracji, z którym nie mogła znaleźć wspólnego języka. Po rozwodzie sama wychowuje dwoje dzieci: syna i córkę. Pracuje jako lektorka cudzoziemców. Specjalizuje się w poprawianiu ich wymowy, szczególnie dotyczy to Azjatów. Kocha sztukę i udało się jej zorganizować tournée po Polsce pewnemu znanemu zespołowi angielskiemu muzyki barokowej, który z kolei pieniądze z koncertu przeznaczył na zakup klawesynu w Zamku Królewskim w Warszawie. Opowiada o różnych udogodnieniach w Wielkiej Brytanii, które czynią ten kraj bardziej... socjalistycznym od byłych krajów socjalistycznego bloku. Prawie 80 procent spośród przebywających tu par małżeńskich po urodzeniu się pierwszego dziecka ma szansę otrzymać mieszkanie komunalne, a zasiłki na dziecko każą niektórym rodzinom przybyłym z dalekich egzotycznych krajów specjalizować się... w „dziecioróbstwie”. Im więcej dzieci, tym więcej pieniędzy. Z tych świadczeń nauczyli się już korzystać młodzi Polacy, dlatego nie dziwię się, że nie chcą wracać do kraju.

cdn.

Dokąd zmierza poezja współczesna?

Od 20 lat, prawie co roku, ukazuje się nowy tomik wierszy nestora krakowskich poetów – **Wojciecha Kawińskiego**. Poeta opublikował chyba już około 30 tomików poezji i mocno jest zakorzeniony na rodzimym rynku czytelnicy. Tym razem nakładem Wydawnictwa Towarzystwa Słowaków w Polsce ukazał się kolejny jego tomik, którego tytuł jest wielce osobliwy i brzmi: „Słowo po słowie”, w domyśle i „po słowie słowo”. Pierwsze skojarzenie, które narzuca się wyobraźni – to wizja pochodzących przez dzieje, ale i istotna rozmowa, zdyscyplinowana wyrazistością znaczeń, które w niej niosą poszczególne słowa, by nie stała się pustosłowiem. Poeta bowiem wsłuchuje się we współczesną, niezdyscyplinowaną semantycznie gadatliwość ludzi i zastanawia się nad jej źródłem, które przypomina mu „chmurychmary”, które pewnie pochodzą „(...) z trzech realnie-metaforycznych / amerykańskich”, gdzie: / „Od najdawniejszych czasów / deszcz płacze” (...) // a wieloryby zdarzeń / giną / bez śladu – / w słono-słodkim / falującym za- / nie – mówieniu”.

Może tu chodzić o gadatliwą cywilizację amerykańską, która zalewa nas potokami słów, osłabia ich znaczenia, w wyniku czego słowa nie służą już do porozumiewania się, a jedynie łączą ludzi w bezmyślnie paplającą wspólnotę. Jeśli tak by było rzeczywiście – to pod znakiem zapytania stoi dialog nie tylko między ludźmi, ale również pomiędzy kolejnymi generacjami poetów. Światotwórcza funkcja słów staje się więc zagrożona, a nasz świat opiera się zasadniczo na niedomowieniach. I ta głęboka wątpliwość oraz związane z nią przeżycia estetyczne wydają się być inspiracją artystyczną krakowskiego poety, która od kilkunastu lat staje się jego narastająca obsesją.

Każda podróż człowieka, zarówno ta realna, ale i ta mentalna przez życie „wyludnia pamięć” w opinii autora, a w konsekwencji sens znaczeń słów zmienia się „nie-dopoznania”, czemu również towarzyszy nieustająca „ruch dnia i nocy”. Najwyraźniej i najbardziej ekstremalnie ów proces destrukcji znaczeń widać wtedy, kiedy próbuje się podjąć rozmowę z poetami już nieobecniymi: Tadeuszem Śliwiakiem, Juliuszem Słowackim, Cyprianem K. Norwidem, Mironem Białoszewskim i tymi, którzy stali się nie-modni we współczesnym świecie kapitalizmu, kiedy wszystko musi się opłacać i dawać zysk. Poecie na myśl przychodzi wizja mówiąca, że nasze słowa organizują „krwawy” pochód przez „mięso miasta”, a wizja ta zbliża się do tej, którą Śliwiak kiedyś tak sugestywnie przedstawił w „Rzeźni”. Kawiński zgadza się poniekąd z diagnozą samego Reinera M. Rilkego, że zawsze wszelkie znaczenia roz-

mywiają się w pamięci i stają się z czasem coraz słabsze, co musi ranić poetę i odbierać jego sztuce kunszt i posmak. Pojawia się wtedy narzekanie na „amnezję świata” i nawet wielka i wspaniała muzyka w takim czasie będzie nieść ze sobą fałszywe brzmienia. Pozostaje jedynie ucieczka w dzieciństwo, ale i ona zaciera różnice między przysłowiową „sielanką wsi” a „rzeczywistością miasta”. W takiej sytuacji poeta staje się ślepcem i obojętnie na przeszłość, a jego wspomnienia zaczynają notorycznie kłamać. W wierszu pt. „Spodziewana sprzeczność” dowiadujemy się, że „(...) jeżeli nie skłamię zostaną / na bocznej / drodze // jeżeli wspomnę już po mnie / nikt wyzna / z przeszłości / nie chce // i nie musi / mieć”.

Opisując doświadczenie Rzymu, tego „wiecznego miasta”, poeta porównuje go do „rozrzuconych znaków w czasie”, które tworzą ludzie miotający się między harmonią bożą a jazgotem ulicy, gdzie tylko czysta forma może być przedmiotem wiary. Widząc tę sytuację zwraca się znów ku sprzeczności targającej duszę Rilkego, wyrażającej się w rozdarciu między doczesnością a wiecznością. Kawiński proponuje zatem ucieczkę poety na bezpieczną pozycję „szeptuna”, który nie wypowie: „ani ciszą, ani słowem”, lecz szepetem o swoich wrażeniach docierających do niego z naszego świata.

Kawiński pochyla się nad prozą Ingeborga Bachmanna, w której niepokoi go obojętność wobec zachowania znaczeń słów, a zarazem gloryfikowanie konkretnych rzeczy, które zastępują nadwątloną pamięć. Mechanizm ten powoduje, że staje się ona niewrażliwa na nasz świat, na nasz „matecznik dźwięków”. Świat ulega w konsekwencji ruinie, a słowo przypomina szarą szmatę do zmywania brudu z podłoża naszego bytu ludzkiego. W konsekwencji świat taki błędnie, traci wyrazistość, bo znikają jego znaczenia, które niosły słowa, dzisiaj sukcesywnie pozbawiane korzeni swych sensów, a zastępują je zbiory rzeczy. Przypominając wysiłek literacki oraz filozoficzny Friedricha Hölderlina, Reinera M. Rilkego, Emanuela Lévinasa i Edyty Stein, poeta sądzi, że tkwi w nich prawda, iż rozwój przysłowiowego pustosłowia musi prowadzić do Holocaustu, gdyż człowiek przestaje być wtedy owym przysłowiowym „pasterzem bycia”, czyli podstawy bytowej trwania ludzi i ich świata, a wszystko postrzega jako różne formy rzeczy. Ukazuje w tej perspektywie losy poezji w wierszu pt. „Strefy. (druga wersja)”, rodzimych poetów i ich „płynięcie „słów po słowach”, którzy wskazywali na wagę dbania o ich sens oraz wypowiedzi poetyckich, a mianowicie Jana Twardowskiego, Leopolda Staffa, Mariana Grześczaka, Wisławę Szymborską, Jarosława M. Rymkiewicza, Annę Świrszczyńską, Jan Brzękowskiego, Tymoteusza Karpowicza innych, ale i tych, którzy starają się o to i dzisiaj, tj. Darka Foksa, Bohdana Zadurę, Krzysztofa Karaska i Jerzego Sosnowskiego. Dochodzi jednak do

wniosku, że: „(...) Dolina znaczeń wykrusza się powoli / jeden to prze-ceni / drugi to prze-boli // Wybór trzeba zostawić / tak jak świat / do poprawy // Wiedzie cierpkie postrzępione słowa/muza / (kochanka surowa) (...) Trój-wiersz ci podpowiada / choć to kiepska rada // Jedynie istnieje kartka wyrwana z reszty / nie-spisanych / wiersz”.

To wielosłowie nękające Kawińskiego musi – w jego ocenie – wrócić do ciszy, choć i samą ciszę należy również odpowiednio diagnozować. Kondycja poezji w tym świecie podpowiada autorowi marzenie o nowym kontynencie, na którym mieszkaliby poeci i na który można by wyemigrować. Bo ten nasz jest dla nich niestrawny, gdyż rządzi się logiką szybkiego tworzenia, wyrzucającym poetę poza siebie, odcinającym go od źródeł jego tożsamości, a więc kultury i społeczeństwa. Stąd i bierze się poczucie niespełnienia i nieprzydatności jego twórczego wysiłku, ale i utrata sił, by doglądać znaczenia słów. Skazany jest więc na samotną wędrówkę, w której nie ma szansy żadnego wyboru, bo nawet jego milczenie nabywa znaczenia dalekiego od zamierzonego. Przekonują o tym wyraźnie Kawińskiego obecne losy, dróg meandrowych twórczości Karpowicza, Michała Zablockiego, czy wreszcie Stanisława Jerzego Leca, o których pamięć coraz dłużej milczy, wokół których „cisza się zamyka”, bo taka jest właśnie obecna ich poetyka. Podobnie jak w przypadku deklaracji polityków, świat odwraca się od ludzi, a oni od poetów, bo podobnie jak tamci: im więcej obiecują, tym mniejsze jest do nich zaufanie. Prawidłowość ta – sądzi Kawiński – dotyczy całej przestrzeni sztuki, a więc muzyki, literatury, sztuk plastycznych, do tego stopnia, że nawet „blaknie malarstwo Légera”. Człowiek staje się rzeczą „pozbawioną sensu” spośród innych rzeczy, zredukowaną do swojego ciała, które mechanicznie zostaje „wy-krawawione” z ducha. Widok z kosmosu redukuje nasze życie do przysłowiowych „molekuł wszechświata” i nawet czarno-biały kwadrat Malewicza „traci twarz”. Żywiolowo wzrasta ruchliwość znaczeń i granic sensów słów, a ich relatywizm pociąga za sobą relatywizm wartości, jak to przewidzieli Fryderyk Nietzsche i Max Scheler. Trudno więc żywić sensowne potrzeby i je rzetelnie realizować również w obszarze twórczości artystycznej. U poety budzi się więc poczucie osamotnienia osobistego oraz pokoleniowego, bo dzisiaj pełne rozumienie zakłada równie pełną rezygnację z granic pomiędzy znaczeniami i ich jasności a więc i aureoli tajemnicy, co konsekwentnie „od- duchawia nasz świat”. Sensowny wybór tworzenia staje się coraz bardziej niemożliwy, bo nie można wybierać między sprawdzonymi wartościami i znaczeniami. Poeta przypuszcza również, że pewnie jest tak, jak sądził Platon, iż zapisywane słowa rozbijają i zabijają sukcesywnie pamięć, a więc i znaczenie słów.

(Dokończenie na stronie 18)

Dokąd zmierza poezja współczesna?

(Dokończenie ze strony 17)

W to miejsce pojawia się świat probabilistycznych znaczeń, w którym upadają granice między sensami słów, choć wszystko jest podobno możliwe do zmierzenia. Cały więc świat sukcesywnie pogrąża się we mgle (niepamięci i relatywizmu) i nawet nie słychać już dobrze echa utworów odeszłych na wieki poetów – pesymistycznie konkluduje autor. W śnionym przez nich „Kontynencie poetów” Kawiński tak oto diagnozuje sytuację: „(...) A choć karta zamknięta / Pamięć je pamięta / Wymień słowo zamiem / W szlifowany / Kamień / Dusze ryb na piasku / Świecą / Nie-odbitym blaskiem... // „czytamy po omacku / chropowatość cegieł / i chłód żelaza”. Boć pono, jak twierdzi Roland Barthes, tekst nie tylko się czyta, słucha, ale ogląda, dotyka i węża! W tym może leży nadzieja, że przyszłe pokolenia czytelników i słuchaczy słów poetów będą przywracać im znaczenia dotykając ich powierzchni, wężając ich zapachy, które jak łuski rybie świecą własnym blaskiem.

Ta wierszowana wypowiedź poetycko-filozoficzna krakowskiego poety, prócz swej wartości artystycznej, jest niewątpliwie ważnym głosem dojrzałego i doświadczonego artysty słowa na temat podstaw semantycznych, ale i semiologicznych przemian, które niesie ze sobą poezja, ale i cała sztuka współczesna, którą zwykło się określać się sztuką ponowoczesną. Wielu krytyków i teoretyków estetyki większej części tego typu utworów postmodernistycznych odbiera wartość artystyczną, sprowadzając ich sens jedynie do gry, której zadaniem jest szokowania publiczności i zwracanie na siebie uwagi przez coraz bardziej egocentrycznych pseudo-artystów. Mówi się nawet w tych przypadkach o „końcu sztuki”, choć tu sprawa jest bardziej złożona, bo zakłada niepełną autonomię twórców, zakładając, że istnieją ludzie i instytucje funkcjonujący poza światem artystycznym, które ogłaszają taką sytuację krytyczną w sztuce, a nie koniecznie są w tej materii kompetentni. Warto zatem spróbować zapoznać się z tą opcją światopoglądową krakowskiego poety i nawet wejść z nim w polemikę artystyczną lub teoretyczną. Aby jednak stosunek do idei zawartych w utworach Kawińskiego mógł być bardziej obiektywny, warto się z nimi szerzej zapoznać, bo już od pewnego czasu przewijają się one w jego twórczości.

PROF. IGNACY S. FIUT

Wojciech Kawiński, „Słowo po słowie”. Wydawnictwo Towarzystwa Słowaków w Polsce, Kraków 2012, s. 112.

Marzenie o szczęściu

Można rzec, że zainteresowanie teatrem Henryka Gały, różnymi jego formami, jest stałe i niezmiennie, czego ostatnim dowodem właśnie wydany wybór dramatów pt. *Czwarty dzwonek*. Pisarz debiutował na scenie jednoaktówką pt. *Nadmiar* wystawioną na scenie Studenckiego Teatru „Kalambr” w 1960 roku. Później przyszyły inne działania sceniczne ważne dla teatralnego Wrocławia, w którym wówczas mieszkał, dla jego własnego *image*. Długo by o tym. Jednak z pewnością wyjazd Henryka Gały ze stolicy Dolnego Śląska w połowie lat siedemdziesiątych ub. wieku zmienił jego optykę, czego dowodem choćby Teatr Lalek i festiwal Teatru w Walizce, którym przez lata zajmował się w Łomży.

W 2006 roku wyszedł pierwszy tom jego dramatów pt. *Scena mała i mniejsza*, a oto mamy kolejny ich wybór, którego lekturę warto podpowiedzieć wszystkim odpowiedzialnym za polski teatr i za polską dramaturgię. Tego typu pozycji książkowych wychodzi u nas niewiele. Doczekał się dwutomowego wydania Harold Pinter, no, ale to laureat nagrody Nobla, doczekało kilku innych, lecz na ogół dramaturdzy muszą się tłoczyć w antologiach, też wydawanych rzadko i niechętnie, trudno tam wybić się na niepodległość.

Stąd raduje nas samodzielność *Czwartego dzwonka*, w którym to tomie autor objawia całą paletę swoich dramaturgicznych możliwości, bo to i monodram, dramat realistyczny, sztuka lalkowa, choć wszystko to pisarz skromnie nazywa komediami. Ba, *Komedią ludzką* nazwał Balzac swój potężny cykl powieści i opowiadań.

We wstępie do *Czwartego dzwonka* autor pisze: „Teatr jest czymś naturalnym, jak mówienie”. Widzę tu aluzję do innego powiedzenia: „życie to teatr, ludzie to aktorzy”. Tak jest. Na ogół gramy w życiu taką lub inną rolę, i dopiero kiedy z niej wypadamy, zaczynamy nas dostrzegać i... oceniać.

Zachęcam do uważnej lektury tego wstępu, gdyż bez niego teatr Henryka Gały trudno zrozumieć. Zwłaszcza jego odmianę nazywaną przez autora „teatrem wiersza”, o którym z kolei tak pisze: „Teatr wiersza był i jest moją potrzebą odkrywania i wyrażania doświadczeń, których treść jest niedostępna przez nazwanie, opis czy najbardziej nawet pojemną metaforę. Jest ruchem słowa, jego masek, przybliżeń, jest rodzajem gry, która otworzy w ruchu to, co pozostaje poza językiem [...]”. Dwa zdania, a ile możliwości interpretacji. I tak jest z całym tekstem, który odnajdujemy w omawianej książce bezpośrednio po monodramie *Fabryka grochu – teatr wiersza*.

Fabryka grochu, to najkrócej opis epizodu z siermiężnych lat PRL-u, dokładnie z marca 1968 roku. To jedna z przełomowych dat w

dziejach powojennej Polski. Każdy ze ówczesnego środowiska literackiego, czy szerzej artystycznego, jakoś się o nią otarł. Otarł się i narrator. Zdarzenie było błahe wobec mnogości mu podobnych w tamtym okresie, a jednak, czytając, ciarki przechodzą nam po plecach, gdyż sięga absurdu spod znaku Kafki. Trudno też tej narracji odmówić paraleli z wędrowną niejakiego Leopolda Blooma z *Ulissesa*, oczywiście, znaj proporcje mocium panie, na miarę polskiej rzeczywistości. A ta, jak zawsze, śmieszna jest, pokraczna i wręcz komiczna. Mroźek by tak nie napisał, czy Gombrowicz. A szkoda, bo to temat dla nich wzorcowy.

Siła tego monodramu leży także w języku, jakim posługuje się autor. Osobnym bardzo. Asja Łamtiugina, znana aktorka, tak napisała o nim w liście do poety: „Zachwylił mnie język i to, że żadna linijka nie jest prosta, że trzeba wracać, iść do przodu i zatrzymywać się, zdumiewać się, że można właśnie tak, bez sensu, a po chwili przekonać się, że jesteś szczwany lis i niczego nie przegapisz [...] czytanie oprócz wszystkich przyjemności może dawać satysfakcję podobną do tej jaką daje złamanie szyfru”.

Jeszcze tylko dodam, że na rzeczywistość Marca'68 autor patrzy ze współczesnej perspektywy, po czterdziestu latach. To kawał czasu, konstatuje jednak chyba ze smutkiem: „[...] po czterdziestu wiem latach, / że dopisać się nie da, jak nie napisało”.

Dramat *Chociaż tyle* wyróżniony został nagrodą w konkursie historycznym Ośrodku Karta. Jednak czy historia jest jego głównym tematem. Chyba raczej kondycja ludzka, dokładniej zaplątanie, zapętlenie się ludzkie w historię, w przeszłość, z której nie ma dobrego wyjścia. Bohaterowie tej sztuki ranią się słowami i to do samego końca. Nikt z nich nie chce ustąpić, czyli wybaczyć, zapomnieć. Aż chce się przypomnieć patetyczne słowa Sienkiewicza, choć wypowiedziane z innej okazji: „Nienawiść wrosła w serca – zatrała krew pobratymczą”. W polskim kotle bulgocze ostro. Jednak taka diagnoza jest chyba za prosta, za jednoznaczna, przed próbą oceny *Chociaż tyle* zachęcam do powtórnej lektury Szekspira, może „podpowie” jakieś rozwiązanie.

Powikłane ludzkie losy, niejednoznaczne biografie, na tyle odkryte na ile pozwalają ich właściciele. Starcy bronią się przed samymi sobą już tylko mechanicznym powtarzaniem ćwiczeń gimnastycznych; kobiet nie opuszcza niepokój, słuszne poczucie krzywdy i poniżenia, także gorszości; młodzi szukają „szczęścia” poza krajem. A wokół pospolitość skrzeszy. „Napij się herbaty”, „Zjedz kanapkę”, „Pokaż zdjęcie”. Zatem i w tej sztuce Gały, podobnie jak w monodramie, pokazano absurd ludzkiej egzystencji, niemożność jej logicznego uporządkowania.

Ostatni dom to sztuka o czekaniu, a „Godotem” okazuje się młoda kobieta. W tej scenicznej relacji kobieta – mężczyzna nikt

nie jest górą. W każdym razie mężczyzna bliższy jest biologizmowi, seksualizmowi, czyli jest bardziej szczerzy, co łączy z brutalnością. Kobieta zaabsorbowana samochodem, a to na ogół groźny przypadek, nie umie czy nie może nie ołsniewać bez względu na przypadki z pojazdem, który wywiózł ją na bezdroża. Przecież jest wzorem businesswoman, która musi sobie poradzić w każdej sytuacji, bo tak nakazuje etyka III Rzeczypospolitej.

Podkreślmy jeszcze to, że Mężczyzna jest z innej, wcześniejszej epoki, z pewnością stoi za nim doświadczenie, ale czy mu przydatne? Kobieta (w sztuce nazwana – Ona) jest produktem ostatnich wspaniałych dwudziestu lat. Pewnie mogliby zostać partnerami. W interesach. Kochankami nigdy.

Dlatego z niepokojem oczekujemy finału tego przypadkowego spotkania dwojga ludzi w warunkach ekstremalnych. Jego logika jest przecież bezwzględna. Więc czemu do końca mamy nadzieję, że... nikt nie jest samotną wyspą.

Nasuwa się także przy okazji i taka refleksja, że kiedy umieramy, pragniemy bliskości. Jednak czy drugi człowiek może nam ją ofiarować?

Gdybym podpowiadał realizację tej sztuki podkreśliłbym, że każdy element na scenie, każdy rekwizyt, ma tu ważne znaczenie, musimy ulec ich metaforyce, by wydobyć z niej wszystkie cienie i blaski.

Kolejna sztuka, którą Henryk Gała zdecydował się opublikować w tomie *Czwarty dzwonek* to *Wszystko widać*, jakby łagodniejszy powrót do przeszłości, do własnego dzieciństwa, do czasów młodości naznaczonych wojną i okresem powojennym. Pytał Grochowiak: „Któż z nas nie schodzi do kopalń dzieciństwa?”. No, nie każdy jest taki odważny jak Henryk Gała. Pisarz musi się przecież zmierzyć z demonami wczorajszymi i dzisiejszymi. Musi raz jeszcze przyjrzeć się dokładnie, pod światło, choćby relacjom rodzinnym, zderzyć się z mitami Ojca i Matki, ze stereotypem Obcego, czyli Niemca. Czy to możliwe, ależ oczywiście jeśli piszemy krwią z palca serdecznego. I tak czyni autor.

Zbiór *Czwarty dzwonek* kończy sztuka dla teatru lalek pt. *Kółko i kamyk*. Pamiętamy, że lalki na scenie mogą być różne, że skoro przetoczył się przez nią bal manekinów wszystko jest na niej możliwe. Ale nie martw się drogi realizatorze i drogi czytelniku, przecież kończy tę sztukę pogodna piosenka:

Wielu ludzi tutaj żyło, w niebo spoglądali.
Z nadzieją patrzyli, swojej gwiazdy szukali.
Więcej ludzi teraz, niebo coraz większe,
Jedno wciąż to samo – marzenie o szczęściu.

STANISŁAW GRABOWSKI

Henryk Gała, „Czwarty dzwonek”. Stowarzyszenie Wspierania Edukacji i Rynku Pracy, Łomża, Oficyna Wydawnicza ASPRA-JR, Warszawa 2012, s. 232.

Herbata z gwiazdek

Niewiele jest książek poetyckich tak jednorodnych i niekonwencjonalnych, jak ostatni tom wierszy **Marii Magdaleny Poczaj** pt. „Herbata z gwiazdek”. Być może jest to najlepsza książka w dotychczasowym dorobku autorki.

Wiersze płyną ku nam z zimowej scenerii, zgoła niecodziennej. A jednak nie czujemy zimna. Przeciwnie! Strona po stronie, patrzymy i wsłuchujemy się w świat poetki i jej myśli w kolejnych porach roku. Również w podróżach na polskie i szwedzkie morskie wybrzeże oraz do Szwecji, by powrócić zimową porą białymi od śniegu wierszami. A one są jak motyle w krainie łagodności.

„Herbata z gwiazdek” jest odpowiedzią na pytanie – co to jest prawdziwa poezja. Wiersze nie muszą zawierać treści stricte filozoficznych, być popisem intelektu. Nie muszą epatować górą metafor, erotyzmem, czy wręcz seksem. Często daleko im do prawdziwej poezji. Zbędne jest podpieranie się cytatami i nazwiskami ważnych, wielkich postaci. Bywa, że taka postać i przytoczony cytat zaślania próżni wiersza jego autora i niekoniecznie świadczy o erudycji i poetyckim polocie. Magda Poczaj nie zastanawia się, jak napisać wiersz. Wiersze po prostu w niej żyją, wyfruwają jak ptaki, płatki śniegu, gwiazdki. Oblaskawiła je, zanim się narodziły. Są posłańcami wrażliwości, miłości, dobra, zachwytu. Sugerują zastanowienie, pochylenie się nad kimś – czymś, zatrzymanie na chwilę w biegu życia, by dostrzec to, co ważne, piękne, albo zasługujące na współczucie czy pouczenie, wskazówkę. Fascynuje ją człowiek „niezwykłość i piękno przyrody, nawet drobnostka, w stworzonym przez Boga wielkim świecie i w tym najbliższym jej domostwu. Podobną fascynację widziałam – czułam w poezji znanej zduńskowolskiej poetki, Lilli Latus. Pamięć podsuwa mi również tytuł książki Zdzisławy Jaskólskiej-Kaczmarek pt. „I napijemy się z jednego źródła”. Każdy lubi inną herbatę, każdy w tej jednej może doszukać się innego smaku. Niemniej Maria Magdalena Poczaj i Andrzej Szałal przygotowali niezwykłą, magiczną ucztę duchową. Jakież to zrządzenie losu? Przypadek, zbieg okoliczności, przeznaczenie, szczęście – że w mrowisku ludzkim spotkało się tych dwoje o podobnej wrażliwości, współodczuwaniu i zamilowaniach (poezja, fotografia). Dwie pokrewne, przyjazne dusze. Wzajemnie siebie potrzebują – dobrze, że mają siebie, choć dzieli ich przestrzeń. Są jak obraz i rama. Jedno bez drugiego byłoby puste, nagie, pozbawione dopełnienia.

Jesteś
daleko czy blisko
tylko to się liczy
reszta
głęboko pod śniegiem

Czytelnik od początku do końca czyta jednym tchem, choć – bez pośpiechu, z namysłem. Każdy wiersz daje mu tyle światła, tyle ciepła, dobrej energii, pozytywnych doznań i myśli, że chyba nawet sceptyk czuje się przy magicznej wartości „Herbaty” jakiś lepszy, o coś bogatszy, pokorniej wobec mocy lub subtelności słowa i jego znaczenia. Uczestniczymy w czymś niemal pozawymiarowym. Razem z autorami listów – smsów czujemy samotność, radość, tęsknotę, zachwyty, gorzyc, nadzieję – naszą własną obecność w ich wzajemnej relacji trwającej prawie cztery lata, dzieleniu się dniami i nocą wrażeniami, wzruszeniami, przemyśleniami. Ubolewamy nad tym, że nie mogą być razem, aby porozmawiać, być blisko w chwili, kiedy jedno potrzebuje drugiego i jego zrozumienia.

Od początku do końca Maria Magdalena Poczaj gra na tych samych strunach. I nie jest to bynajmniej żadna „deszczu pęknięta struna”. Dobrze, że przeszłość, bolesną, pogrzebała pod czystym, białym śniegiem – jak czysta, nowa strona życia. Tak, jak i nowatorska (moim skromnym zdaniem) jest koncepcja książki „Herbata z gwiazdek”. Przechodzimy – przepływamy z jednego wiersza do drugiego, tematycznie pokrewnego. Łączą się tu słowa jak dłonie w kręgu, ognia łańcucha, jak gwiazdka za gwiazdką śniegu z nieba, obcowanie z przyrodą w kolejnych porach roku, jak morska fala i wiatr. Uczestniczymy w różnych sytuacjach, czynnościach, podróżach i rozmyśleniach. Pomiędzy wierszami – kursywą pisane poetyckie listy-smsy poetki i Andrzeja Szałala. I to jest w tej książce najbardziej niezwykle, nie tylko pod względem treści. To innowacja, choć zapewne zdarzały się książki podobne w zamysle. Ale może nie były tak jednorodne i mądre w pozornej prostocie wierszy.

Wiersze Magdy Poczaj to afirmacja codzienności, która może być ważna, kiedy jest się dla kogoś, dla czegoś, choćby nawet w oddaleniu. Sama świadomość buduje coś nieuchwytnego, niewidocznego, a jednak trwałego. Z każdym przesłanym słowem pewniejszego, nabierającego poczucia wartości, wsparcia i obopólnej inspiracji. W sumie to nie jest tylko dzielenie się wzruszeniami, zachwytaami, poglądami. To coś więcej, co można dostrzec i poczuć pomiędzy słowami, czego zapewne doświadczyci nieliczni.

Wróć na chwilę do tomiku „Na deszczu pękniętej strunie”. Czytam w wierszu otwierającym książkę – *Stokrotka*: „...ile można czekać / w sukience białej jak śnieg...”. Ale dalej – „...Twoje zimne słowa / topią się w moich rękach / jak śnieg / widzisz jak się potrzebujemy?”

W tamtej książce „kulila w sobie nawet oddech”, a „W Wigilię” „...z opłatkiem łyzy / kłuczyła po obrusach śniegu / z nieba przyszła cisza...”. Ale „w sercu wila gniazdo przebaczenia”.

(Dokończenie na stronie 20)

Herbata z gwiazdek

(Dokończenie ze strony 19)

Z tomu „Herbata z gwiazdek”:

Piszesz
że śnieg u ciebie
bywa zmysłowy
otwieram usta
na dotyk
wirujących gwiazdek

i jesteś bliżej

Przyglądałam się kiedyś płatkom śniegu na rękawie mojego płaszczka. Stałam zdumiona, zafascynowana prawdziwymi, białymi gwiazdkami. Zdarzyło mi się to tylko raz.

Wrzucam do imbryka
kilka płatków zmierzchu
parę zamysłów
i rozkruszony zapach
tamtej chwili
a ty prosto z lasu
do chatki Arvidssona
wnosisz garnek
świeżego śniegu
na herbatę
z roztopionych gwiazdek

Andrzej Szmaj

Ach Gerdo
Łowczyń Wierszy
na zakurzonych strychach
podwórzach
oblężonych przez banal nowości
w siwym niebie ukryta
słońca pomarańcza
za szarobiałym lasem
przestrzenie bagien
zaludnione wiekowymi sosnkami
aż po kolejny las
w mroźnym powietrzu
na wpół rzeczywisty

Maria Magdalena Poczaj

A tu mrozu leciutkie dzwonki
w złocie błękitie i bieli
od rana chodzi za mną
długi cień
ciągnie za sobą pulkę
pełną myśli od których
topnieją gałązki śniegu
na drzewie mojej ulicy

Marię Magdalę Poczaj znam od siedemnastu lat. Jest prawym człowiekiem. Naturalna, otwarta, pogodna. Jest w niej samo dobro, którym obdarza innych. Nie omamia, nie kokietuje, nie przekupuje. Jej poezja jest taka, jak ona. A poetyckie komentarze do

fotografii własnych i kilku znanych fotografii – sprawiają, że cała „kompozycja” zyskuje inny, niezwykły wyraz.

W błękitnym zmierzchu
palę na podwórku świece
tkwią w syrkim puchu
kandelabry królowej śniegu
sąsiedzi pewnie znów
pukają się w czoło
co ona robi w taki mróz
a ja bawię się w teatr
w oknach zrolowane swetry
koce rozpięte na drzwiach
palę te świece
i od razu cieplej
na duszy

Andrzej Szmaj to miłośnik Laponii, przyrody dziewiczej. Poeta, fotografik, autor diaporam. Najlepiej czuje się na północy Szwecji, za kółem podbiegunowym.

Maria Magdalena Poczaj

Dla Ciebie
kosmyk błękitu
tańczący na wietrze
o tobie
słoneczna myśl
drgająca jak struna
mego niedowierzania

Andrzej Szmaj

Dla ciebie uśmiech
z mej zimowej codzienności
pod stalowoszarą niebem
pardwa zostawiła ślad w poblizu
mały biały anioł
przyszł i odleciał

Okładka książki zachęca do smakowania poezji. Jest na niej błękitna filizanka, taka domowa – rodzinna, z namalowanymi na niej kwiatami i sugestywnym wnętrzem w ciepłym, jasnym, herbacianym kolorze. Czeka na nas na śniegu pod wieczornym niebem.

ANNA ANDRYCH

Maria Magdalena Poczaj, „Herbata z gwiazdek”. Wstęp: Andrzej Haegenbarth. Rysunki: Maria Magdalena Poczaj. Projekt okładki według pomysłu autorki: Maja Rausch. Serii LIBRA, Związku Literatów Polskich, Poznań 2013.

W pajęczynie tekstu

Popularnie uważa się, że koncepcja filozoficzna Jacques’a Derridy stoi w dużej mierze pod znakiem myśli Friedricha Nietzschego. A jednak Derrida napisał o Nietzsche’u między innymi to, że *zmienia on*

zдание w zależności od położenia własnego ciała.

Wiedząc o tym, że Nietzsche nie tylko mówił, ale i pisał rzeczy najbardziej ze sobą sprzeczne, Derrida musiał po prostu przyjąć, że nie ma czegoś takiego jak prawda Nietzschego.

W rozdziale pt. *Pozycje* czytamy:

– *W zasłonie tekstu Nietzsche trochę się gubi, niczym pająk nie dorównujący temu, co się z niego wytworzyło.*

Derrida pomija takie nietscheańskie kwestie jak wola mocy, wieczny powrót, nadczłowiek, nihilizm, resentment; przemija natomiast nietscheańskie podejście do tekstu uwolnione od zależności wobec sensu. Interesuje go tylko tekst, jego sposób pisania, kształt zapisu. Nie polemizuje z tym, co mówi Nietzsche, zajmuje go bowiem kwestia; nie co, ale jak; jak Nietzsche to ujął, zrobił, napisał, zinterpretował. Derrida skłania się ku przekonaniu Nietzschego, że nie istnieją fakty, tylko interpretacja. Czytanie jest, nieustannym rozszyfrowanie bez kresu, stanowi jakby szyfr szyfrów.

W nawiązaniu do tych znaków, szyfrów i gry słów odnajdujemy również wstęp Bogdana Banasiaka pod tytułem *Derrida – Nietzsche (-go sobie)*. Wstęp ten jest małym arcydziełem pozwalającym lepiej zrozumieć tekst francuskiego filozofa.

Dalej zostajemy już tylko my i tekst Derridy, który, zgodnie z filozofią autora powinniśmy sobie jakoś zinterpretować. Tu przydadzą się nam derridańskie pojęcia z dzieła *O gramatologii*, takie jak dekonstrukcja, różnia i chora.

Przez cały tomik przewijają się pojęcia i ujęcia kobiety lub prawdy albo kobiety i prawdy, a może kobiety prawdy, a także woale, ozdoby, udawanie, pozycje itd.

– *Jeśli styl jest mężczyzną, to pismo byłoby kobietą* – pisze Derrida.

Odnajdujemy również style, ostrogi (czyje?) i oczywiście zapomniany parasol Nietzschego, a może Derridy, a może nasz parasol, a może nie parasol tylko to, co on symbolizuje.

– Nie udawajmy, że wiemy, co to jest zapomnienie – pisze autor w ostatnim rozdziale, a wcześniej: – *Ażeby pozór się wydarzył, trzeba pisać w rozstępie między dwoma stylami. Jeśli istnieje styl – to właśnie podsuwa nam kobieta Nietzsche (-go sobie) – powinien być więcej niż jeden.*

I w tym właśnie (zinterpretowanym lub nie) stylu, zachęcam do lektury.

JURATA BOGNA SERAFIŃSKA

Jacques Derrida, *Ostrogi. Style Nietzschego*. Oficyna Wydawnictwo, Łódź 2012.

Filozofia codzienności (77)



Moralność oparta jest na dekalogu i ewangelii. Bóg stanowi uosobienie wszystkich pozytywnych wartości.

Według tomizmu ład moralny jest niezależny od człowieka. Świat został stworzony przez Boga dla pewnego celu, który nie może być osiągnięty poza Bogiem. Ten ład moralny obejmuje wszystkich ludzi. Pewne czyny są dobre moralnie, a inne złe. Decyduje o tym Bóg. Ład moralny świata ma źródło w *lex aeterna*, czyli w myśli Boga, która jest najwyższym prawem. Poznanie Boga, a więc poznanie *lex aeterna*, jest dla człowieka niemożliwe.

Poznajemy jedynie trzy, wywodzące się z prawa wiecznego, rodzaje praw. Pierwsze z nich, to prawa świata przyrody. Drugim rodzajem jest prawo boskie, czyli objawione. Jest to ta część prawa wiecznego (*lex aeterna*), którą Bóg bezpośrednio objawił człowiekowi. Ma ono na celu regulowanie stosunków między człowiekiem a Bogiem i doprowadzenie człowieka do wiecznego zbawienia. Trzeci rodzaj prawa wywodzący się z prawa wiecznego, czyli z Boga, jest to prawo naturalne. Ma ono charakter prawa moralnego. Sprowadza się do zasady: dobro należy czynić, zła należy unikać.

Prawa moralne obowiązują jedynie człowieka jako istotę rozumną i wolną. Są to ogólne zasady postępowania człowieka, którym podlegać ma prawo stanowione w państwie. Niektórzy neotomiści podkreślają, że prawo moralne to zewnętrzna norma postępowania, natomiast normą wewnętrzną jest sumienie.

Wprowadzenie do filozofii przez *myśl* chrześcijańską pojęcia stworzenia świata przez Boga wytworzyło szczególną relację na płaszczyźnie moralnej między człowiekiem, czyli stworzeniem, a Bogiem – Stwórcą. Takiego przeciwieństwa nie znała starożytność, bowiem zarówno dla filozofów głoszących materializm, jak i dla filozofów głoszących idealizm w starożytności było oczywiste, że materia jest wieczna.

Teocentryzm – a nie homocentryzm – stanowi podstawę tomistycznej moralności. Najwyższą cnotą została uznana miłość do Boga. Posłuszeństwo, to kolejna wysoko ceniona cnota. Była nieznana myślicielom starożytności.

Etyka kantowska

Immanuel Kant (1724-1804) jest twórcą konsekwentnie rozwiniętej etyki autonomicznej. Źródłem moralności jest jego zdaniem rozum. Jest on autonomiczny, czyli możliwe jest uwolnienie rozumu od namiętności, od uczuć oraz nacisków zewnętrznych. Nonsensem jest spotykane twierdzenie, że etyka sformułowana przez Kanta nie jest etyką wartości lecz etyką obowiązku i powinności. Wszak obowiązek, czynienie zadłość powinności bezwzględnej stanowi fundamentalną wartość.

Kant charakteryzuje człowieka jako istotę bierną, skłoną do dobrobytu oraz do wygodnictwa. Nie jesteśmy człowiekiem w pełnym tego słowa znaczeniu z faktu narodzin. Uczłowiecza nas dążenie do ideałów. Po stronie rozumu teoretycznego Kant wskazuje jako ideał dążenie do poznania *rzeczy* samych w sobie. Po stronie rozumu praktycznego ideałem jest dążenie do utworzenia tzw. państwa celów, a więc zarazem stanu trwałego pokoju.

Rozum teoretyczny oraz rozum praktyczny nie stanowią dwóch odrębnych rozumów w człowieku. Zostaliśmy wyposażeni w jeden rozum, który pełni bądź funkcję poznawczą, bądź funkcję praktyczną, to znaczy kieruje postępowaniem. Wymienione wyżej ideały łączą ze sobą żyjące pokolenie oraz decydują o więzi ze sobą kolejnych pokoleń z przyszłymi włącznie.

Kant twierdzi, że każdy człowiek odczuwa w sobie prawo moralne, inaczej imperatyw kategoryczny, czyli bezwzględną powinność, która daje się wyrazić następującymi słowami: „Postępuj tylko według takiej maksymy dzięki której możesz zarazem chcieć, żeby stała się powszechnym prawem”. Maksyma, to znaczy motyw woli. Kant buduje więc koncepcję etyki na wartości obowiązku a nie na wartości dobra, któremu poszczególne teorie etyczne nadają rozmaite znaczenie.

Człowiek moralny według Kanta, to ten, kto kieruje się takim motywem woli, który może chcieć uznać za powszechnie obowiązujący każdego człowieka. Innymi słowy, moralność zespolona jest z poczuciem jednostki, iż stanowi część całej ludzkości i jest za nią odpowiedzialna.

Wartością fundamentalną jest, zdaniem Kanta, człowiek. Bóg natomiast jest przedmiotem wiary. Według Kanta, moralność oparta o lek przed boską karą jest wyrazem niższego poziomu życia moralnego, aczkolwiek wiele osób powstrzymuje ten lęk od niegodziwych czynów.

Filozof ten nadaje imperatywowi kategorycznemu postać imperatywu praktycznego. Brzmi on: „Postępuj tak, byś człowieczeństwa tak w twej osobie, jako też w osobie każdego innego, używał zawsze zarazem jako celu, nigdy tylko jako środka”. Nawet Bóg nie mógłby traktować człowieka jako środka do celu.

Z imperatywu praktycznego płynie etyczny nakaz stanowienia na świecie trwałego pokoju. Kant napisał dzieło „Wieczny pokój”, w którym zawarł szczegółowe paragrafy przyszłego traktatu kończącego raz na zawsze wszelkie wojny. Dzieło to – w przeciwieństwie do innych dzieł Kanta – nie wywarło wpływu na jego współczesnych. Znaczenie tej rozprawy o wiecznym pokoju zrozumiano i doceniono dopiero po drugiej wojnie światowej.

Kant podkreśla, że szczęście nie może być uznane za cel ludzkiego życia. Natura bowiem wyposaża człowieka w rozum. Byłby on zbędny, gdyby miało nam przyświecać zmierzanie do stanu szczęśliwości. W takim bowiem przypadku wystarczyłyby nam instynkty i uczucia. Skoro jesteśmy wyposażeni w rozum, to znaczy, że cel ludzkiego życia zawiera się w tym, co powszechne, łączące nas z całą ludzkością. Kant zapoczątkował tym samym postawę życiową określoną sto lat później mianem społecznego indywidualizmu.

Dodam, że o wartości człowieka decydują zdaniem Kanta podjęte czyny, ukierunkowane przez wymienione ideały. Ale o tym czy ktoś jest moralny wiedzieć może jedynie on sam. Boviem motyw dla którego podejmujemy działania oraz nasza chęć – najczęściej bezskuteczna – by uczynić go powszechnie przewodzącym decyduje o moralności. Etyka kantowska stanowi zarazem zaporę dla skłonności człowieka, by oceniać innych w kategoriach moralnych.

Etyka neokantowska

Charakterystyczne dla poglądów rozmaitych szkół neokantowskich, także i dziś formułowanych, jest przyznawanie najwyższej rangi prawu jako czynnikowi wyznaczającemu pozostałe sfery życia zbiorowego, łącznie z gospodarką. Moralność jest możliwa dzięki istnieniu prawa, które gwarantuje wolność, umożliwiając tym samym dokonywanie przez jednostki swobodnych wyborów między albo – albo. Przedstawiciele różnorodnych teorii etycznych są zgodni co do tego, że o moralności można mówić, gdy jednostka ma swobodę dokonywania wyborów.

Neokantycyści, zgodnie z duchem kantyzmu, stwierdzali że patriotyzm nie powinien przesłaniać najwyższej wartości, jaką jest ludzkość. Herman Cohen i jego uczniowie, tworzący szkołę marbsubrską w neokantyzmie, ujmowali jako problem etyczny zagadnienie socjalizmu. Twierdzili, że socjalizm jest ideą o absolutnym znaczeniu, która powinna kształtować życie poszczególnych społeczeństw. Socjalizm to system, w którym każdy człowiek będzie traktowany jako wartość najwyższa.

cdn.

Maria Łajszkowska

ANDRZEJ BARTYŃSKI

Rozmowy na globie – człowieka o sobie



Gdzie są moi przyjaciele

– Dla rozpusty będą chrusty – powiedziała Wiosna, wchodząc do salonu mych myśli.

– W naszym salonie mych myśli, nasza Wiosna zawsze coś wymyśli – taki to odzew dał filozof Pan Nietwór, siedząc już przy okrągłym stole w towarzystwie swego wiernego asystenta, Daniela Spaniela – odzew na hasło rzucone przez Wiosnę.

– Dla rozpusty będą chrusty – powtórzyła Wiosna swoim bursztynowym głosem, posypanym lekko kminkiem seksu dla zwiększenia duchowego apetytu.

– Z wielkim aplauzem przyjmujemy, Wiosno, twoją propozycję, bośmy już nawet dość zgłodzieli, oglądając z tarasu świat tak długo, zanim przyszedł tu do salonu – powiedział Pan Nietwór, wiosennie uśmiechając się w stronę Wiosny.

– Uśmiech za uśmiech – powiedziała Wiosna, wiosennie uśmiechając się w stronę Pana Nietwora. Coś za coś, albo nic za coś, tak jak to jest z poezją. Piękne słowa, piękne myśli, nieustanny trud, wysiłek artysty natchnionego wizją dla dobra świata, by ludzkość była szczęśliwa, a to wszystko idzie na marne. Nie spełnia się zamierzony cel realizacji poetyckiego piękna w naszym codziennym życiu, bo: bo, bo, bo, ble, ble ble! Nie mówiąc o innych krajach, w naszym polskim państwie, mającym za sobą wielką tradycję kultury słowa i myśli, ci którzy dzisiaj w nim rządzą, tak naprawdę całą kulturę, jak mówią Czesi, mają w perdeli.

Ach, Wiosno, Wiosno! – zawołał Daniel Spaniel – powiedz nam, co to jest ta perdel, bo nie znamy czeskiego.

– To jest ten schówek, który ma każdy z nas od tylnej strony świata. Co też ja mówię. Nie od tylnej strony świata, tylko od tylnej strony ciała, oczywiście poniżej pasa.

– Ale nie dochodząc aż do pięt, prawda Wiosno – zapytał Daniel Spaniel.

– Ani nie dochodząc aż do kolan – odpowiedziała Wiosna i mówiła dalej. Ci, którzy w polskim państwie dzisiaj rządzą, nie cenią żadnej innej poezji poza swoją własną. O dzisiejszych polskich poetów w naszym życiu kulturalno-społecznym nie dbają i dbać nie będą, bo to są ich konkurenci, przeciwnicy i wrogowie. Ci, co w Polsce rządzą sami są najlepszymi poetami, którzy wielbią absolut konkretny do utraty ostatniego plemnika rozumu.

– Czy ten plemnik rozumu dotyczy też kobiet – zapytał Daniel Spaniel.

– Ten plemnik rozumu też dotyczy kobiet, bo dzisiaj każda płeć, męska czy żeńska jest albo do nabycia albo do zbycia. Mężczyzna zmienia seks, staje się kobietą, kobieta zmienia seks, staje się mężczyzną. No i dramatokomedia gotowa. Wszystkie masowe środki przekazu, wszystkie media informacyjne fikają z radości. Mają o czym trajlować od rana do rana, przez dzień i noc. W ten sposób dziennikarze zdobywają poklask i ster władzy nad umysłami wielu nieświadomych i naiwnych ludzi.

– Wróćmy Wiosno do tych, jak powiedziałaś najlepszych poetów, którzy rządzą w naszym państwie wielbiąc absolut konkretny.

– Dobrze Danielu, muszę Ci powiedzieć, że oni nigdy nie powiedzą tak jak nasz Autor

*z listków drobnych i wiosennych
z twoich oczu migdałowych
wiersze wschodzą nie zachodzą
ludzi budzą, świecą nocą,*

bo Danielu, muszę Ci to powiedzieć jak oni mówią. Jak konkretnie oni mówią: temu przywalić, tego wywalić, temu przypieprzyć, tego wypieprzyć, temu przyfastygować, tego wypiórkąć, temu przychromolić, tego wypitolić, temu przykręcić, tego przekręcić, tego zasypać, temu podsypać. Dawaj co bądź, niech się koła obracają. Złote koła kariery, kariery, kariery bez tak zwanej moralnej bariery.

– Dla rozpusty będą chrusty – to filozof Pan Nietwór odezwał się głosem Marszałka Sejmu Rzeczypospolitej Polskiej. Jesteśmy głodni i spragnieni.

Mistrzu! Do tych chrustów będzie czerwone półślodkie, ale przed tym moi Panowie, moje drogie orły, będzie podana do dzióbka, będą podane do dzióbka pyszna bulba i wątróbka i paluchy korniszonów, a do kufla piwo jasne.

– Pozwól Wiosno, że przyklasnę – powiedział Pan Nietwór jak widać ukontentowany.

Na wschodnich terenach polskich, obecnych i dawnych, takich jak Lwów, Borysław, Drohobycz, Truskawiec, Sambor i innych, na bulwę ziemniaka mówi się bulba, a na placki ziemniaczane, bulbianiki.

– Masz rację, Danielu, to prawda – powiedziała Wiosna, podchodząc do otwartych drzwi salonu prowadzących na taras, skąd roztaczał się szeroki, daleki widok na świat. – Panowie! Panowie! Popatrzcie jaka piękna wiosna – zawołała błękitnooka, zawołała zło-

towłosa, zawołała Wiosna o wiosnie, a nie o sobie.

*Z listków drobnych i wiosennych
z twoich oczu migdałowych
wiersze wschodzą nie zachodzą*

powiedział Pan Nietwór i stanął obok Wiosny.

– Wyjdźmy na taras – powiedział Daniel Spaniel – i patrząc przed siebie odrzekł: podziwiamy te piękne drzewa, a ja w tym czasie przeczytam na głos wypowiedź naszego Autora, pod tym samym tytułem: *Piękne drzewa*.

*Leżałem z tobą wczoraj pod wierzbą
leżałem z tobą przedtem pod brzozą
pod bukiem, pod klonem, jesionem i wiązem
nie było innego wyboru
czy z tobą leżałem pod dębem – przypomnij
Leżałam przedtem pod brzozą
pod bukiem, pod klonem, jesionem i wiązem
nie było innego wyboru
pod każdym drzewem leżałam z kimś innym
Gdyby nie te piękne drzewa
nie mielibyśmy sobie nic do powiedzenia
dzisiaj oboje siedzimy pod dębem
obok, oddzielnie, każdy w swej samotności
Czy wiesz, ty masz rację
szczęście, że jeszcze możemy tworzyć poezję
nie mamy innego wyboru
tylko te piękne drzewa*

– Ma się rozumieć, tylko te piękne drzewa – oświadczył filozof Pan Nietwór.

Wszystko od drzewa się zaczęło, jak piszą w Biblii Świętej w Starym Testamencie. Wbrew boskiemu zakazowi dali się skusić, podjęli decyzję, zjedli zakazane jabłko z drzewa wiadomości dobrego i złego. Ewa i Adam, Adam i Ewa, nasi prarodzice. Nagle zobaczyli, że są nady. Nagle poczuli ten władczy zapach rajskich perfum seksu. No i pod jego przemożnym wpływem oboje złączyli się w jedno. Za pomocą swych męskich i żeńskich erogogenicznych instrumentów stworzyli i posadzili drzewo życia. To cała nasza ludzkość, cały nasz las marzeń, który tworzymy, sadząc w nim drzewo wiary. *Leżałem wczoraj z tobą pod wierzbą. Drzewo wiary – gruszki na wierzbie. Leżałam z tobą wczoraj pod figą. Drzewo wiary – figa z makiem z pasternakiem. Nagle zobaczyli, że są nady. Czy to znaczy, że zobaczyli nagą prawdę, że się przebudzili, że się ocknęli? Ma się rozumieć, tylko te piękne drzewa, jak czytamy w Biblii Świętej w Starym Testamencie. Wszystko od drzewa się zaczęło – oświadczył filozof Pan Nietwór.*

*Z nocy wyszedł dzień i spojrzal przed siebie
zobaczył drogę po której szedł Pan Bóg
z psem przewodnikiem, bo był niewidomy
dzień dobry – powiedział dzień do Pana Boga
dzień dobry – powiedział Pan Bóg i się przebudził*

My się też przebudźmy – to bursztynowy głos Wiosny. Popatrzcie, wcale nie jesteśmy nady – to bursztynowy głos Wiosny.

(Dokończenie na stronie 24)

POEZJA

Piotr Bednarski, „Białe Skrzydła”. Malarstwo: Iwan Ajwazowski. Wydawnictwo Miniatura, Kraków 2012, s. 64.

Małgorzata Anna Bobak, „Żywot pliszki. Wiersze i proza poetyczna”. Redakcja: Bogusław Majusiuk. Projekt okładki i posłowie: Barbara Mazurkiewicz. Fotografie: Małgorzata Bobak. Wydawnictwo i Drukarnia Diecezjalna, Tychy 2012, s. 74.

Monika Brągiel, „Kim się nie jest”. Projekt okładki: Monika Kocot, Julian Czurko. Na okładce wykorzystano zdjęcie Mariusza Partyki. Seria „poetycka”, tom 96. Stowarzyszenie Literackie im. K.K. Baczyńskiego, Łódź 2012, s. 48.

Leszek Elektorowicz, „Wiersze dla Marii”. Projekt graficzny: Konrad Glos. Na okładce obraz Grzegorza Steca „Poławiaczki perel” (1998). Wydawnictwo ARCANA, Kraków 2012, s. 48.

Danuta Hasiak, „Przymierzalnia skrzydeł”. Projekt okładki: Andrzej Szejwejs. Podkarpacki Instytut Książki i Marketingu, Rzeszów 2012, s. 86.

Wojciech Kass, „Czterdzieści jeden. Wiersze. Głosy”. Zdjęcie na okładce: Maciej Sperski. Zdjęcie na IV stronie okładki: Tomasz Waszczuk. Opracowanie: Zbigniew Fałtynowicz. Projekt okładki: Marcin Ekert. Biblioteka Krytyki i Biblioteka „Toposu”, tom 81. Towarzystwo Przyjaciół Sopotu, Sopot 2012, s. 168.

Eda Ostrowska, „Echolalie”. Projekt, układ typograficzny: Studio Format. Zdjęcie: Andrzej Bednaruk. Wydawnictwo Episteme, Lublin 2012, s. 48.

Stefan Pastuszewski, „Traktaty”. Redakcja: Jolanta Baziak. Na okładce: Barbara Grützmaier „Dąb św. Jana”. Instytut Wydawniczy „Świadectwo”, Bydgoszcz 2013, s. 48.

Czesław Sobkowiak, „Powieść ze snu”. Ilustracja na okładce: Vermeer, „Nalewająca mleko” (ok. 1660). Zdjęcie autora na okładce: Ziemowit Stolarczyk. Zielona Góra 2012, s. 84.

Ryszard Wasilewski, „Igraszki z codziennością”. Redakcja: Andrzej Żmuda. Projekt okładki: Anna Brylkowska. Ilustracje: Sławomir Łuczynski. Agencja Wydawnicza Ad Oculos, Warszawa-Rzeszów 2013, s. 96.

„III Powiatowy Konkurs Poetycki – Piszę sercem, sercem maluję...”. Wydawca: Szkoła Podstawowa nr 8, Piotrków Trybunalski 2013, s. 24.

PROZA

Aida Amer, „Rantis”. Okładka: Katarzyna Borkowska. Fotografia autorki: Michał Korta. Seria „Proza Spoza”. Wydawnictwo AMEA, Liszki 2012, s. 252.

Marian Lech Bednarek, „Sianoskręt”. Projekt okładki: Tomasz Rodzik. TextPartner, Katowice 2012, s. 68.

Zofia Beszczyńska, „Sny o miłości i śmierci”. Projekt graficzny: Empestudio, Marcin Piotrowski. Projekt okładki i stron tytułowych: Weronika Ulicka. Zdjęcie autorki: Bogusław Ulicki. Oficyna Wydawnicza Volumen, Warszawa 2012, s. 228.

Zdzisław Łączkowski, „Tryptyk liryczny”. Redakcja: Maciej Zarębski. Projekt okładki: autor. Zdjęcie na okładce: Jacek Łagowski. Korekta: Ludomira Zarębska. Zdjęcia: Archiwum, Józef Zenon Budziński, Lucyna Kukomska, Stanisław Śliwa. Seria: „Biblioteka Świętokrzyska”, nr 304. Wydawca: Świętokrzyskie Towarzystwo Regionalne, Zagnańsk 2012, s. 40.

Beata Rudzińska, „Wszystko dla niej”. Okładka: Piotr Jackowski. Fotografia autorki: Michał Korta. Seria „Krótkie Formy”. Wydawnictwo AMEA, Liszki 2012, s. 164.

Jan Władysław Woś, „Symposium w Cassino i inne opowiadania”. Projekt okładki: Bernard Nowak & Marek Popielnicki. Grafika na okładce pochodzi z książki Tibora Szanto „Pismo i styl”, tabl. 14. Wydawnictwo Test, Lublin 2012, s. 292.

Wojciech Żmudziński SJ, „Mesjasz”. Ilustracje: Katarzyna Kaczmarek. Okładka: Aneta Gerula, „Moja narzeczona w czarnych rękawiczkach”, kopia obrazu Marca Chagalla. Fundacja Magis, Gdynia 2012, s. 156.

NAUKA, KULTURA, SZTUKA

Wojciech Karpiński, „Twarze”. Na okładce „Twarz młodzieńca” Krzysztofa Junga. Na skrzydełku „Wojciech Karpiński” Krzysztofa Junga. Fundacja Zeszytów Literackich, Warszawa 2012, s. 248.

Bogusława Latawiec, „Zegary nie do zatrzymania. Literackie portrety, listy, szkice”. Projekt okładki i stron tytułowych: Agnieszka Sitko. Fotografia autorki na okładce: Andrzej Szozda. Biblioteka Arkadii-Pisma Katastroficznego, tom 82. Instytut Mikołowski, Mikołów 2012, s. 352.

„Jest Bóg, żyje prawda. Inna twarz Stanisława Brzozowskiego”. Wybór, wstęp, opracowanie: Maciej Urbanowski. Projekt okładki: Anna Kierzkowska. Fronda, Warszawa 2012, s. 462.

Piotr Michałowski, „Mikrokosmos wiersza. Interpretacje poezji współczesnej”. Projekt okładki: Ewa Beniak-Haremska. Opracowanie graficzne i typograficzne: Andrzej Augustyński. Oficyna Wydawnicza „Impuls”, Kraków 2012, s. 284.

Juliusz Mieroszewski, „Listy z Wyspy. ABC polityki „Kultury”. Wybór, opracowanie i posłowie: Rafał Habielski. Projekt okładki i stron tytułowych: Krzysztof Rumowski. Instytut Literacki Kultura, Instytut Książki, Paryż-Kraków 2012, s. 464.

Piotr Mitzner, „Droga do Rosji”. Projekt okładki: Xenia Hałoń. Rysunek na okładce: Paulina Zielona. Fotografie pochodzą z archiwum Rianzańskiego „Memoriału”, Archiwum Ośrodka Karta. Oficyna Wydawnicza Errata, Warszawa 2012, s. 210.

Agnieszka Nęcka, „Co ważne i ważniejsze. Notatki o prozie polskiej XXI wieku”. Projekt okładki i stron tytułowych: Agnieszka Sitko. Biblioteka Arkadii-Pisma katastroficznego, tom 83. Instytut Mikołowski, Mikołów 2012, s. 184.

Kazimierz Ratoń, „Dziennik. Prozy. Teksty krytyczne”. Przedmowa: Jan Z. Brudnicki. Posłowie: Magdalena Boczkowska. Projekt okładki i stron tytułowych: Agnieszka Sitko. Biblioteka Arkadii-Pisma katastroficznego, tom 81. Instytut Mikołowski, Mikołów 2012, s. 168.

Stanisław Stabro, „Klasycy i nie tylko... Studia o poezji XX wieku”. Projekt okładki: Paweł Sepielak. Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków 2012, s. 268.

Maciej Andrzej Zarębski, „Śladami kultur prekolumbijskich. Relacja z podróży po południowym Meksyku w lipcu 2006 roku”. Redakcja i korekta: Ludomira Zarębska. Projekt okładki i zdjęcia na okładce i w tekście: autor. Seria: „Biblioteka Świętokrzyska”, nr 308. Wydawca: Świętokrzyskie Towarzystwo Regionalne, Zagnańsk-Kilece 2013, s. 48.

DRAMAT

Stanisław Franczak, „Kamaw, znaczy zmarłychwstanie. Scenariusz filmowy tv na podstawie noweli filmowej Stanisława Franczaka pt. »Wierzbek basista«”.

[ad]

Gdzie są moi przyjaciele

(Dokończenie ze strony 22)

Danielu, nalewaj piwa do kufla. Siadajmy do stołu. Zaraz przynoszę ziemniaczki deparczki czyli puree, kurzą wątróbkę i korniszony. Będzie uczta jak u Baltazara. Zaspokoimy głód, ugasimy pragnienie, a potem dla rozpusty będą chrusty i czerwone wino.

Dla rozpusty będą chrusty i czerwone wino – powiedziałem, wchodząc do salonu mych myśli.

Witaj, witaj, witaj! Nasz słowodajny Autorze. Witaj wiosennie, witaj strzemiennie, witaj bezwzględnie – te słowa wygłosił filozof Pan Nietwór, za siebie, za Daniela i za Wiosnę.

Odpowiedziałem na powitanie: Gdzie są moi przyjaciele? Moi przyjaciele! Woła i woła samotny mieszkaniec ziemi. Jesteśmy tutaj, jesteśmy tutaj. Słyszysz głosy wokół siebie. Już was poznaję, ponieważ tak samo kłamiecie jak dawniej. Już was poznaję. Czy macie jakiś pomysł, gdzie mogę znaleźć poezję życia. Mówiąc to uśmiecha się człowiek z miłości do piękna i powtarza pytanie po angielsku: have you any idea where I can find the poetry of life?

Widzisz, kochany nasz Autorze, jak to dobrze, że znowu zaczęliśmy się uczyć angielskiego – to bursztynowy głos Wiosny, przysypany lekko kminkiem seksu.

Siadam do stołu, gdzie dla rozpusty już są chrusty i czerwone wino. Siadam do stołu, bo najlepiej jest wśród przyjaciół.

ANDRZEJ BARTYŃSKI



Poeta znad Luciąży Jerzy Włodzimierz Misztela (1946-2013)

(1987). Następne tomiki poetyckie, np. „Garbate poranki” (1998), „Klejnot z sitowia” (2001) otworzyły mu drogę do Związku Literatów Polskich – Oddział w Kielcach. Napisał też piękny poemat o swym przodku, bohaterze wojny secesyjnej w Ameryce (ten zbiorek obiecano mu wydać w LSW), oraz obrazowo ukazaną opowieść prozą pt. „Strajk zegarmistrzów” o gorącym czasie strajków i polityczno-społecznego zamętu w kraju przed stanem wojennym. Oczywiście akcję tej prozy umieścił w bełchatowskim kombinacie.

Nigdy nie należał do żadnej partii, ale nie unikał społecznego uczestnictwa w zbiorowiskach twórczych. Najpierw związał się z piotrkowskim RSTK, z sekcją literacką „Pomona”. Zmiany ustrojowe po 1989 roku zmiotły niejedną taką inicjatywę. Świetnie tu działające RSTK po latach istnienia uległo rozwiązaniu. Zanim jednak to się stało, Jerzy W. Misztela został wybrany do Rady Krajowej RSTK. Działal tam, poznawał ludzi pióra o proveniencji robotniczej i ich książki, publikował swe utwory w RSTK-owskich periodykach. Potem przez szereg lat był aktywnym członkiem klubu literackiego „Zakole”, który zrzeszał głównie adeptów pióra, toteż praca klubu miała charakter warsztatowy. Po kilku latach klub został rozsadzony od środka przez zawistników: takich nigdy nie brakowało, zwłaszcza tam, gdzie coś dobrego się dzieje.

„Zakole” odeszło w przeszłość, lecz „próżnia” trwała niedługo, bo pod tym samym patronatem Miejskiego Ośrodka Kultury w Piotrkowie powstał nowy klub, którego nazwę „Abaton” wymyślił właśnie Jurek. To czas późniejszy. Natomiast w roku 2001 utworzyłem i przez 10 lat prowadziłem w tutejszym Domu Nauczyciela grupę literacką „Pomosty”. Jurek, nie rezygnując z „Abatonu” zgłosił swój akces także do „Pomostów”. Grupa ta wydawała czasopismo literackie pod tym samym tytułem, gdzie Jurek wielokrotnie zamieszczał swe wiersze i fragmenty powieści.

Komu z nas przez te wszystkie lata przyszłoby na myśl, że ten silny jak tur mężczyzna, rozwijający się twórczo – tak przedwcześnie nas pożegna? O tym zagrożeniu wiedziałem dopiero wtedy, gdy pisałem „Legion” z taką dla Jurka strofą:

*Wręcz heroiczny, gdy się zmagam
ze słowem (w parze z Watermanem)
i kiedy jako losu tragarz
walczy z zabójczym „tulipanem”.*

Dziś czasowniki, użyte tu w czasie teraźniejszym, są już kłująco nieaktualne – przebrały się w czas przeszły... A tak niedawno rozmawialiśmy nie tylko o tym, co pisał. Zwierzaliśmy się wzajem z kłopotów codzienności, snuliśmy wspomnienia. Jurek często i zawsze z estymą wspominał nieżyjącego już ojca. Kiedyś zaszkoczył mnie wierszem dedykowanym, wtedy jeszcze żyjącemu, arcybiskupowi Józefowi Życińskiemu. Wydało mi się dziwne, że autor pisze o tym duchownym *per ty*, jako o swoim koleźce. I Jurek opowiedział mi, jak to w dzieciństwie obaj pasali krowy w dolinie nad Luciążą, a ówczesnego Józka nazywano „Mirkiem”. Lecz ten wiersz to nie tylko retrospekcja z lat chłopięcych. To równocześnie wyraz szacunku i uznania dla znanego z bezkompromisowych wypowiedzi, także przedwcześnie zmarłego

hierarchy.

Mijały jesienne tygodnie bez znaku życia od Jurka. Zadzwoił 22 grudnia ub. roku... ze szpitala. Zbolałym głosem, krótko (bo zakazano rozmów z pacjentami) wyduślił z siebie kilka zdań. To była nasza ostatnia, może dwuminitowa rozmowa. I dokładnie po 37 dniach (28.01.2013) słyszę w słuchawce głuchy, zrozpaczony głos Krystyny: „Jurek zmarł w szpitalu przy ul. Roosevelta, dzisiaj, o piątej po południu. Byłam przy Nim. Umierał spokojnie...”.

Jak trudno w to uwierzyć, Drogi Przyjacielu! Jak przeboleć to, że musimy myśleć nie „jesteś”, lecz „byłeś”? Ale to niezupełnie tak, bo pozostałeś w sercach i pamięci tych, którzy cię kochali i cenili. Pozostałeś też w swej znakomitej poezji i prozie. Twoje zabite przez straszną chorobę ciało musimy pożegnać, lecz Twoje dzieło jest żywe, piękne i mądre. Przez nie będziesz żył w nas, póki my żyjemy... Bez ciebie poranki będą jeszcze bardziej garbate, ale twój z sitowia klejnot talentu przebijie swym blaskiem mrok obezwładniający nasze umysły i serca. Ten blask będzie świecił mocniej niż utrwalony twym piórem blask księżyca nad Luciążą. Żegnaj, wspaniały Twórcu i Przyjacielu!

Rafał Orlewski

Irena Tetlak

samotność

przeczekuje tęsknoty na balkonie
wsluchana w muzykę
odurzona lekko aromatem kawy
nic jej nie ożywia
nawet dolatujący zgiełk wielkiego miasta
rozmyśla leniwie
wypatruje rumieńca w zieleni
czeka z cierpliwością
którą wymyślił sam Bóg –

każdemu dał trochę czasu
dla niej był łaskawszy o ostatnią sekundę
o obietnicę nadchodzącego losu

Mammozonia

nad moją Mammozonią czuwają
anioły. mają szeroko rozpostarte
ramiona. chronią mnie przed złymi
emocjami. wiara z przeznaczeniem
rytmicznie współgrają

jak początek z końcem
jak koniec z początkiem

Gazeta Kulturalna Poezja Proza Krytyka Historia Sztuka Muzyka – miesięcznik

Wydawca i redakcja: DOM KULTURY 97-425 ZELÓW, ul. Kościuszki 74, tel. (044) 6341098; 504630543

e-mail: andrzejdebkowski@wp.pl www.gazetakulturalna.zelow.pl

Redaktor prowadzący — **Andrzej Dębowski**.

Współpraca: Józef Baran, Emil Biela, Tadeusz Czemiawski, Małgorzata Dębowska, prof. Igancy S. Fiut, Andrzej Gnarowski, Kazimierz Iwosse, Stefan Jurkowski, Rafał Orlewski, Janusz Orlikowski, prof. Maria Szyszowska, Igor Wieczorek, Tadeusz Zawadowski, Leszek Żuliński.

Współpraca techniczna: Małgorzata Kotala, Agnieszka Kowalczyk.

Redakcja nie zwraca niezamówionych materiałów. Zastrzega sobie prawo do skracania artykułów oraz zmian tytułów nadsyłanych tekstów bez uprzedniego powiadomienia autora. Skład: Andrzej Dębowski. Druk: „TAGRAF”, 98-113 Buczek, Bachorzyn 13, tel. (043) 677-41-56.